AS

Nr. 37

11 WRZEŚNIA 1938 R

CENA 40 GROSZ



100%-wy MĘŻCZYZN

GARY COOPER

PÊLE MÊLE

„Beauty day", dzień piękności, wprowadzony został w Stanach Zjednoczonych przez kosmetyków specjalistów; w ciągu niego panie uprawiają lekki post. O ile głodówka, bezkrytycznie uprawiana, jest bardzo szkodliwą, o tyle taki — od czasu do czasu — jeden dzień postu, wybitnie przyczynia się do oczyszczenia organizmu, a tem samem i podniesienia urody.

Paryż to miasto najpiękniejszych kobiet. Jeżeli wierzyć francuskiemu pisarzowi Constantin Weyer, to raczej Reykjawik ma ich najwięcej. Według jego spostrzeżeń z 10 tam na ulicy spotkanych kobiet, za siedmioma musi się człowiek obejrzeć, 5 jest zdecydowanemi pięknościami, a conajmniej 3 uwiodłyby każdego świętoszka. Ogół tamtejszych pań, to blondynki o twarzy wąskiej, oczach niebieskich, a postawie jak porcelanowe figurki. Używają dość dużo kosmetyków, usta mają czerwone, a brwi czarne — wąskie. Ubierają się albo według mody paryskiej lub też w stroje narodowe. Są bardzo koleżeńskie, a wiele z nich pracuje zawodowo.

Nikt nie śmie podawać w wątpliwość dyktatorskiej władzy Paryża na polu mody. Berło to dzierży Paryż od 1672 r., w którym to roku ukazało się pierwsze pismo, poświęcone modom: „Mercure Galant". — Przedtem prym dzierżyła Hiszpanja, która odziedziczyła ze swej strony tę władzę po Włoszech. — Jak to powiedział Chateaubriand: „Mędrzec pogardza modą, ale się do niej stosuje!".

Cylinder to bardzo eleganckie nakrycie głowy. Cała Anglja go obowiązkowo używa. Jak wszystkie jednak większe wynalazki ludzkie i ten nie został odrazu przyjęty. Oto w numerze Timesa z 1796 r. znajduje się bardzo ciekawa notatka: niejaki John Hetherington pokazał się raz na ulicy w lśniącym jedwabnym kapeluszu. Opłakane były tego skutki! Kilka pań zemdlało, a wiele dzieci zaczęło gorzko, na ten niezwykły widok, płakać. Sprawca tej sensacji został ukarany grzywną Ł 500. — Taki to los pionierów!

Znane już są w Europie listy mówione, wprowadzone najprzód w Anglji, a potem w Niemczech. Jestto płytka gramofonowa, przesyłana w kopercie jak zwykły list. W Ameryce poczta poszła o krok dalej i wprowadziła przesyłanie na odległość odcisków ust. Dzieje się to w ten sposób, że panienka, pragnąca ukochanemu zrobić przyjemność, idzie na pocztę i tam silnie poróżowane wargi przyciska do kawałka papieru. Tak powstały rysunek przesyła się jak fotografję, telegrafją obrazkową.

Zbieraczom autografów zdarzają się bardzo nieinteligentne pociągnięcia. Swego czasu jakaś Włoszka napisała do sławnego autora „Serca", de Amicisa z prośbą o autograf. Ten odpisał jej dość ostro, że autografów nie udziela. Mało sprytna zbieraczka ze złości podarła ten list. — Dowcipniejszy był już za młodu Edward VII, który zwrócił się kiedyś do swej mamusi z prośbą o pieniądze. Ta odpisała mu odmownie, ale sprytny synalek sprzedał ten cenny z punktu widzenia zbieraczy autografów list, za okrągłą sumę jakiemuś antykwarzowi.

W Southampton żyje niejaka pani Calcott. Założyła ona sobie osobliwe muzeum przedmiotów, które spowodowały wypadki lub śmierć. Myśl ta przyszła jej do głowy wówczas, gdy dowiedziała się, że brat jej zginął od kuli w momencie, gdy pił wodę przez filter, jaki mu darowała, by się nie rozchorował od złej wody w Indjach. Dochodziła do swych kurjozów (opony, noże etc.) przez pilne studjowanie gazet, których paręset abonowała. Uzbierała wprawdzie coś półtora tysiąca objektów, ale jednocześnie wydała na nie około zł. 1,000.000, tak, że znalazła się w skrajnej nędzy. Znalazł się wprawdzie Amerykanin, który odkupił od niej ten zbiór za zgórą zł. 300.000, ale nim czek nadszedł— umarła! Podobne muzeum otwarto w Sidney. Jest to muzeum katastrof. Znajdują się tam przedmioty, które dały ostatnią wiadomość o zaginionych, n. p. deska z rozbitego okrętu i t. p.

W Edynburgu znów żyje taki pan, który zbiera flaszki wody z całego świata. Wydał już na tego swego ćwieczka majątek. — W mieście Chichester żyje inny znów pan, zbierający papierki, służące do owijania pomarańcz. A pani Taylor koronuje szereg osobliwych zbieraczy, bo ona znów zbiera ich... nazwiska.

Najdziwniejszy chyba testament zostawiła Madame la Bresse. Oto umierając w 1876 r. zapisała fr. 125.000 z przeznaczeniem na zakup majteczek dla... bałwanów ze śniegu! Oczywiście sąd nie uwzględnił tej delikatności uczuć i testament unieważnił.

Wszyscy znają chrzest, jaki przechodzi pasażer, pierwszy raz przepływający równik. Linje lotnicze, nie rozporządzając tradycją, chcą też wprowadzić trochę romantyzmu. Gazety angielskie proponują, by zamiast wręczanego obecnie zaświadczenia na pergaminie, chrzczono pasażera w bardziej dekoratywny sposób. Chcą, by go chrzcił bożek Eol zapomocą wentylatora.

Technika powoli wypiera romantyzm! — W Singapore już muezzin wzywa wiernych na modlitwy przez megafony, do Mekki jeździ się coraz więcej nie karawanami wielbłądziemi, lecz autobusami, a wodę ze świętego źródła przesyła się we flaszkach hermetycznie zamkniętych i dokładnie oczyszczoną z wszelkich zarazków. — Maszyny do pisania wypierają pachnące liściki naszych prababek. Żaden autor nie pisze już ręcznie swych dzieł, każdy ma maszynę. Pierwszy poeta, który pisał na maszynie, to Mark Twain, a mianowicie swego Toma Sawyera napisał na Remingtonie kupionym za dol. 125. — W Europie pionierem był Tołstoj. Swą Annę Kareninę właśnie napisał na maszynie w Jasnej Polanie. — Ubocznie podam, że japońska maszyna do pisania ma tylko... 3096 znaków.

Wszystkie zawody posiadają swych patronów. Ostatnio dostały swą patronkę i stenotypistki. Jest nią Ethel Bognard, Węgierka, która była przez 2 lata maszynistką. Była tak świątobliwą, że w lipcu b. r. została beatyfikowana. Zmarła w 1932 r.

Tego roku obchodzimy 200-lecie porcelany z Sèvres. Początki jej miały miejsce na wieży w Vincennes, a w 1738 r. przeniesiono warsztat do Sèvres, gdzie już wielcy artyści zaczęli tworzyć dla tego nowego we Francji działu twórczości. W 1770 r. znaleziono we Francji kaolin i od tego czasu porcelana ta zajęła pierwsze miejsce w Europie.

W czerwcu b. r. powtórzono w Berlinie pierwsze przedstawienie kinematograficzne, jakie tam miało miejsce 1 września 1895 r. Konferansjerem był ówczesny „producent", a obecnie 75-letni pan, niejaki Maks Składanowski.

Bardzo oryginalną restaurację otwarto w Chicago. Usługuje się tam gościom wśród popisów, jak w varieté. Kelner śpiewa menu, tenor zapowiada wina, garderobiany jest sztukmistrzem i gościom eskamotuje niepostrzeżenie rozmaite przedmioty itd. Nie nadarmo nazywa się ten lokal: „Restauracją śmiejących się gości".

Ogólnie ceniony jest likier Grand Marnier! Receptę jego dał sławnemu hotelarzowi, Cezarowi Ritz, Marnier Lapostolle, przemysłowiec francuski w 1890 r. — Likier ten nazwano żartobliwie „Grand — wielki", bo Lapostolle był bardzo niskiego wzrostu.

Dziwne ilości krawatów mają niektórzy. I tak Adolf Menjou, gwiazdor ekranu, ma ich 250 sztuk, aktor francuski K. Le Bargy około 600, chyba najwięcej miał Wilhelm II, bo 1700.

Nieraz słyszy się twierdzenie, że postępy w szkołach nie są miarodajne dla późniejszych sukcesów w życiu. Ostatnio przeprowadzona w Niemczech statystyka wykazała, że tak nie jest. Okazało się bowiem, że po 40 latach z dobrych maturzystów wybiło się w życiu 75%, a ze słabych tylko 10%.

Jedni chorują na bezsenność, a drudzy... Amerykański podoficer John Taylor zasnął w aeroplanie i wyleciał z niego. W czasie upadku obudził się, pociągnął za sznurek spadochronu i ponownie zasnął! Na ziemię opadł bez żadnego zranienia. Tak piszą gazety. Si non e vero... Przypomnę, że spadochron projektował już Leonardo da Vinci.

W dobie motoryzacji warto przypomnieć, że w Stanach Zjednoczonych od 1935 r. zostało zabitych przez auta 3700, a rannych 1,280.000 osób. Dla porównania: 19 lat Napoleońskiej kampanji kosztowało „zaledwie" 685.000 rannych i zabitych!

Inna statystyka: w ciągu jednej godziny na całym świecie rodzi się 5440 dzieci, umiera 4630; zawiera się małżeństw 1200, a rozwodów przeprowadza 85. Jednocześnie, na tym najlepszym ze światów, morduje się 15 osób.

Najsilniejszy reflektor, bo o sile 2 miljonów świec, znajduje się w Chicago na drapaczu Colgate i Palmolive Peer House. Przy świetle tego reflektora można czytać gazetę w odległości 40 km. Siła jego światła w odstępie 1 metra jest 20.000 razy silniejsza od słonecznego.

Na zakończenie trochę drobiazgów:

Pierwsze lustro ścienne powstało w 1688 r., a pierwsze czyste szyby nauczono się wytwarzać z początkiem XVI wieku. — Najwięcej alfabetów ma drukarnia Watykanu, drukuje ona bowiem biblje dla misyj, rozsianych po całym świecie. — Największy wodospad na świecie, bo wysokości 1600 m, jest w Wenezueli, wodospady Niagary mają tylko 50 m wysokości, najwięcej wody spada wodospadem Victoria w północnej Rodezji wysokim na 120 m. — W dobie dancingów przypomnijmy sobie, że tańczyć parami pozwolono dopiero w XVI wieku! — Murzyn Gilberson w 91 roku życia miał dzieci 38, przyczem najstarszy liczył sobie 66 lat. Z pierwszą żoną miał 25 dzieci, z drugą 1, z trzecią 4, a z czwartą 8. — Z początkiem tego roku zmarł w Potomac City w wieku 37 lat Granville W. Hall zwany z powodu swej wagi 250 kg, słusznie najcięższym człowiekiem świata. Najwyższym jest Said Mechmed o wysokości 2,70 m.

Jerzy Dołęga Lewandowski.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA W CZECHOSŁOWACJI Kc. 2.50

CENY OGŁOSZEŃ: Wysokość kolumny 275 mm. — Szerokość kolumny 200 mm. — Strona dzieli się na 3 łamy, szerokość łamu 63 mm. Cała strona zł. 600 Pół strony zł. 300. 1 m. w 1 łamie 90 gr. Za ogłoszenie kolorowe doliczamy dodatkowo 50% za każdy kolor. prócz zasadniczego. Żadnych zastrzeżeń co do miejsca zamieszczenia ogłoszenia nie przyjmujemy

Numer 37 **Niedziela, 11 września 1938** **Rok IV**

ASY NUMERU 37-GO:



Fot. Zygmunt Borzęcki

Do najpiękniejszych i najbardziej malowniczych okolic południowej Szwajcarji należą wybrzeża jeziora Lugańskiego, których fragment widzimy na powyższem zdjęciu, przedstawiającem słynną „Villa Brusati" w miejscowości Oria.

DBAJMY ★ O ★ DOBRE ★ OBYCZAJE!





Czy zrobiłbyś to dla niej, gdyby była brzydka?



Wzajemny stosunek mężczyzny do kobiety rządzony jest od wieków pewnemi prawami i zależnie od środowiska, oraz nastawienia i poziomu jednostek, przybiera rozmaite formy. Stosunek ten opiera się na mieszaninie najsprzeczniejszych uczuć: siły przyciągania i wstrętu, delikatności i przemocy, namiętności osiągającej napięcia, rozstrzygające nieraz o bycie ogarniętych nią jednostek, — jak i uczuć współzawodnictwa i pogardy. Podnoszeniu się cywilizacyjnemu i kulturalnemu społeczeństw towarzyszyło zawsze dążenie do stłumienia u mężczyzn uczuć brutalnych wobec kobiet i w ten sposób zrodziła się galanterja. Jest ona czynnikiem wyraźnie seksualnym, a to z racji zasadniczej różnicy, jaka ją dzieli od uprzejmości i kurtuazji mężczyzn między sobą. Wysublimowaną formą galanterji wobec kobiet, to rycerskość wobec nich, uczucie bezinteresowne i jakoby zdeseksualizowane, uniezależnione od wieku i urody kobiety, a praktykowane dla zasady, — tylko dlatego, że dotyczy kobiety.

Dzisiejsze czasy, określone już wielokrotnie jako czasy upadku kultury, oczywiście przyniosły zmiany w stosunku wzajemnym płci, dość mianowicie wyraźną falę nawrotu do uczuć raczej pierwotnych, dały tym stosunkom oblicze dalece różniące się od nastawień ubiegłego stulecia, a choćby czasów przedwojennych. Poza zasadniczym upadkiem kultury i obyczajności, grają tu rolę nowe czynniki już par excellence współczesne, a mianowicie niebywałe dotąd w historji skomplikowanie i zróżniczkowanie życia z jednej strony, z drugiej zaś, wejście kobiet oficjalne i gromadne na arenę współzawodnictwa z mężczyzną i walki o byt.

Mężczyzna dzisiaj normalnie jest przepracowany, zdenerwowany i skłopotany. Nie znaczy to, aby w innych czasach człowiek również nie pracował ciężko i nie borykał się z trudnościami. Dzisiejsze jednak specyficzne warunki tej pracy, jej tempo, skomplikowanie i mechanizacja, wdzieranie się jej w tryb życia i w myśli o każdej porze dnia, — wywierają specjalnie destrukcyjny pod pewnymi względami wpływ na psychikę mężczyzny, wywołując zmęczenie i otępienie. W tym stanie trzeba znacznie większej dyscypliny wewnętrznej, trzeba się zdobywać na większe niż dawniej wysiłki, aby podtrzymywać tradycję bezinteresownej rycerskości wobec kobiet. To, co romantycznym galantom XIX wieku przychodziło stosunkowo łatwo i tkwiło w całej ich zewnętrznej sylwetce obyczajowej, — to dzisiaj, powracającemu z wielogodzinnej pracy zawodowej mężczyźnie, przychodzi bez porównania trudniej.

Na rozróżnienie między bezinteresowną rycerskością, a galanterją i względami okazywanymi kobietom na tle pociągu do nich — chcemy tu właśnie skierować uwagę.

Pociąg do kobiet przybrał w dzisiejszych czasach właściwe dla tychże czasów cechy: pośpiechu w realizacji swego celu, oraz częstszego niż kiedykolwiek rzucania na szalę momentów materjalistycznych. Sympatję kobiety chce się zdobyć szybko, a zjednuje się ją sobie prostowaniem jej ścieżek życiowych w ten lub inny sposób. Nie zapewnienia podziwu, dozgonnej miłości i wierności, lub obietnica małżeństwa mają ją skusić, ale raczej dostarczanie jej rozrywek i uciech życiowych, ułatwienie jej trudnej nieraz bardzo egzystencji posadą, protekcją lub drobniejszem nawet udogodnieniem w biurze, urzędzie, lub nawet sporcie.

Atuty zależnie od swej kultury wygrywa mężczyzna z mniejszym lub większym wdziękiem osobistym, tak, nawet, że wielokrotnie robi to wrażenie rycerskości, a w istocie jest środkiem, wiodącym do celu, albo zupełnie konkretnego, albo — tak, na wszelki wypadek: anuż, kiedyś przy sposobności przyda się to?

Oczywiście nie mogą robić wrażenia rycerskości takie względy, okazywane ładnej kobiecie, których dany mężczyzna nie okazałby nigdy innej, niepociągającej





— Dość mam już tych zbiórek! proszę mi dać święty spokój...

Na prawo: — O! w pani piękne rączki złożę nawet grubszą sumę...





— Cóż mnie ta stara wiedźma może obchodzić...

Na prawo: — Dla pani chętnie poświęcę mój nowy płaszcz i kapelusz...





— Kochana kuzynko, mam wrażenie, że najlepiej zabawisz się w kinie...

Na prawo: — O tak! ten dancing należy bezwątpienia do najdroższych lokali...

Rysunki: Charlie — Kraków.

go białogłowie z tej prostej przyczyny, że wogóle nikomu nie powinien ich okazywać. Zachodzi ten wypadek, gdy mężczyzna pod wpływem pociągu do kobiety, łamie dla niej pewne zasady, burzy pewien porządek obowiązujący, lub w inny sposób ją forytuje. Dla ilustracji parę przykładów takich względów, które nie są i nie mogą być rycerskością:

W biurze, pan szef kancelarji umieścił w jednym pokoju dwa urocze „daktyle" i tak jakoś przydziela im robotę, że obie panienki mają dużo czasu na manicure i pogawędki, gdy tymczasem obok, inne mniej urodziwe koleżanki muszą młócić na maszynach do pisania bez ustanku.

Na uniwersytecie, pan profesor jest wrażliwy na wdzięki niewieście i ładniejszym studentkom stawia przy egzaminach pytana w ten sposób, że musiałyby być z natury krnąbrne i niewdzięczne, aby na nie źle odpowiadać. Oczywiście do wszystkich kobiet tego nie mógłby stosować.

Piesek ładnej pani gonił jak warjat po mieście bez kagańca i nabroił wiele. Urzędnik, powołany do ukarania właścicielki psa, poprzestaje na grzywnie w wysokości symbolicznej złotówki, aby sumienie mieć spokojne, a przy sposobności, w krótkiej a miłej pogawędce stara się dowiedzieć, gdzie zwykle pani chodzi z pieskiem na spacer.

Jak z tego widać galanterja, wynikająca z pociągu do kobiety, może nawet w drobiazgach skierowywać postępowanie mężczyzny na niewłaściwe tory (nie mówiąc już o drastycznych wypadkach wywołanych zgubną namiętnością), gdy tymczasem bezinteresowna rycerskość nigdy dlań nie będzie złym doradcą.

Odrazu prostuję ewentualne nieporozumienie z Czytelnikiem: bynajmniej nie mam zamiaru potępiać w zasadzie galanterji zdobywczej. Zawsze wszak mężczyzna zdobywać będzie względy kobiety i robić to będzie musiał sposobami w danej epoce najwłaściwszymi i najskuteczniejszymi. Chodzi tylko o to, aby wskazać na wyższość kulturalną rycerskości bezinteresownej i potrzebę jej praktykowania obok tamtej galanterji. Do tego potrzebny jest jednak samokrytycyzm u mężczyzny, polegający na rozróżnieniu jednej od drugiej. Dlatego zadawanie sobie od czasu do czasu pytania: *„Czy zrobiłbyś to dla niej, gdyby była brzydka?"*, wywołać może u mężczyzny, który chce pracować nad sobą, inny odpowiednik myślowy, a mianowicie: *„Zrobię to dla niej, choć jest brzydka"*. A wtedy już mamy do czynienia z prawdziwą rycerskością, która nie ogląda się na wiek i urodę.

Polacy zawsze uchodzili za naród, odznaczający się rycerskością. Na tle obyczajów innych narodów można nawet zauważyć u nas pewne cechy, które w niektórych wypadkach trącą przesadą, zwłaszcza jeśli chodzi o objawy czysto zewnętrzne. Dość pospolite jest u nas szastanie się i podrygiwanie przy kobietach, nie pokrywające się z prawdziwą dla nich uprzejmością. Ponieważ zaś każdy medal ma odwrotną stronę, więc i w tym wypadku fason ten wywołał u naszych kobiet nieraz lekceważące traktowanie mężczyzn, ton wyniosły lub drwiący.

Wśród takiego zachowania się ginie i przepada prawdziwa męska rycerskość, która ma właściwe oblicze tylko w nastroju wzajemnego szacunku i umiaru. Dominantą jej i głównym motywem powinna być względność silniejszego dla słabszej płci. Dlatego też we wszystkich wypadkach, gdzie kobieta jest silniejsza od mężczyzny, zdrowsza, młodsza, bardziej wypoczęta, może mężczyzna bez obrazy dobrych obyczajów zrezygnować z nieistotnych w takich wypadkach objawów kurtuazji, a zachować ją na te chwile, gdy słabość płci niewieściej okaże się w sposób naturalny i dla tej płci właściwy.

(dokończenie na str. 7-ej).



NOWOŚCI SEZONU JESIENNEGO

Gdy pierwsze krople jesiennego deszczu wypłoszą letników z miejscowości kuracyjnych, wówczas filateliści, którzy zapomnieli na krótki czas o znaczkach wodnych, katalogach, czy sensacyjnych blokach, wpadają w sidła dawnej namiętności.

Ażeby ją zaspokoić, trzeba mieć oczywiście dużo gotówki w portfelu, czy też na koncie czekowem, bo już na pierwszy krok wita nas nadzwyczaj oryginalne wydanie znaczków węgierskich i mnóstwo innych nowości.



Najnowszy blok znaczków węgierskich, wydany z okazji 900-lecia śmierci patrona i pierwszego króla Węgier, św. Stefana.

Blok kusi barwnem wykonaniem w 7 odcieniach (polskie drukarnie bledną zapewne z zazdrości), tak, że wkrótce stajemy się ubożsi o zł. 5.50, a zato album bogaci się nowym okazem. Na dodatek trzeba się oczywiście zaopatrzyć także w dwie pojedyncze wartości za 10+10 fil. i 20+20 fil. — Cały blok jest wydrukowany na żółtawo-brunatnawym - marmurkowym papierze, i przy formacie 153×112 mm nie zalicza się do olbrzymów swego gatunku.

Pojedyncze znaczki są emitowane na papierze białym, różnią się więc tem od swych bliźniaków, połączonych w bloku.

Jak na jeden rok, to rejestrujemy prawdziwy nadmiar bloczków filatelistycznych i dawna zapowiedź nasza wydaje się sprawdzać, bo co tydzień chyba przedstawiamy Czytelnikom dalszy okaz tego zwyrodnienia filatelistycznego. Przecież już wkrótce ma się ukazać dalszy blok szwajcarski, a polski „blok stratosferyczny" już jest wydrukowany w nakładzie 65.000.

Efekt oczywisty potopu nowości dał się już zauważyć od kilku lat: zbieraczy ogólnych niema zupełnie, do wyjątków należą ci, którzy poszukują znaczków wszystkich państw europejskich, i polskich filatelistów trzeba zaliczyć do dwóch grup: jedna to „specjaliści" Polski, druga, to zwolennicy pewnego określonego kompleksu państw. Zanika także typ zbieracza znaczków przedwojennych, który nie musiał zastanawiać się nad celowością wydania danego egzemplarza: wszystkie emisje były wówczas pocztowo uzasadnione.

Nowe katalogi charakteryzują obecne usposobienie na giełdzie filatelistycznej i stwierdzają „status quo" po rekordowej zwyżce cen ubiegłego sezonu. Stagnacja — jakby się z powyższego zdania wydawało — jest jednak wrażeniem bardzo powierzchownem, o dalszym rozwoju filatelistyki nie świadczy wyjątkowa zwyżka cen znaczków jednego tylko kraju (Austrji), lecz to, że popyt na znaczki o małym nakładzie jest nadal niezaspokojony.

Relacja ceny efektywnej w stosunku do „Marki Michla" jest obecnie bardzo zmienna i chociaż owa waluta filatelistyczna jest pojęciem niezależnem prawie od niemieckiej Rentenmark, to przecież fakt, że praktyczna wartość pieniądza niemieckiego jest zupełnie nieustalona — odbija się na międzynarodowych stosunkach wśród zbieraczy. Możemy dzisiaj nabyć bieżące nowości niemieckie prawie al pari marka za złotego!

Michel ocenia znowu bieżące znaczki niemieckie i to trzechkrotnie wyżej, aniżeli nominale, co znaczy, że cena praktyczna znaczka powinna wynosić 1/3 notowanej. Ile zaś my mamy płacić za 33 fenigi niemieckie, to nam mówi raczej wyczucie, aniżeli notowania giełd pieniężnych.

Katalog datowany „1939" przynosi zasadniczą zmianę układu omal we wszystkich państwach, a mianowicie rozdziela znaczki lotnicze, gazetowe itp. od regularnych. Wywiera to oczywiście wielki wpływ na układ w albumach, gdzie już oddawna poświęcano odmiennym kategorjom specjalne kartki. Tak jak zawsze niema reguły bez wyjątku i dla każdego kraju powinien być zachowany indywidualny układ, odpowiadający duchowi czasu. Przecież stosowany w antycznych albumach Schaubecka system łączenia znaczków urzędowych angielskich z normalnemi, byłby dzisiaj nie do pomyślenia.

Znaczki bieżące są sygnowane dla Niemiec znakiem trąbki pocztowej i dziwimy się, dlaczego tego ułatwienia nie zastosowano jeszcze przy dalszych krajach, w każdym razie na to płaci się drogo za dodatki, aby informowano nas o częstych zmianach.

Przy bardzo dokładnym przeglądzie cen, dochodzimy jednak do przekonania, że zwyżka t. zw. czołowych wartości, przeważa zdecydowanie zniżkę wartości bloków i coraz dalsze ścieśnianie liczby kolekcjonowanych krajów wzmaga zato ambicję wypełnienia wszystkich luk. Imponująca jest dokładność, z jaką zestawiono wszystkie edycje obu Hiszpanij. Jest to chyba najdłuższy rozdział w katalogu i obejmuje 65 stron.

W znaczkach krajów pozaeuropejskich, prawie że nie dostrzegamy zmiany cen, a tylko rejestracja nowych kolonij angielskich z wizerunkiem Jerzego VI zwiększyła wydatnie objętość. Stany Zjednoczone, to rzecz jasna najsilniejszy możliwie objekt i gremjalna zwyżka wszystkich lepszych wartości (przeciętnie o 10%), dowodzi, że materjału brakuje przedewszystkiem u handlarzy.

Dla Polaków pomyślna wiadomość: zagranica zaczyna się coraz lepiej orjentować i widzimy, że w oznaczeniu prawdziwej wartości serji „Poczta Polska" zrobiono kolosalny krok naprzód. Na ewentualny zarzut niedocenienia może o 10 procent odpowie jednak każdy argumentem zupełnie słusznym: „Przecież jest tu takie niebezpieczeństwo nabycia falsyfikatu!"

* * *

Jesteśmy bardzo zadowoleni, że problem poruszony przez nas cztery tygodnie temu, znalazł żywy oddźwięk w postaci głosów zbieraczy i kupców. Inna sprawa, że głosy te są jeszcze przedwczesne, bo nie omówiliśmy jeszcze drugiej i trzeciej możliwości t. j. prywatnej likwidacji zbioru oraz sprzedaży za udzieleniem kupcom tylko pewnego rabatu, lub też urządzeniu aukcji.

Posłuchajmy, co pisze mec. Dr Zygmunt Landau (Kraków):

„W Polsce nabywców na rzadkie marki jest bardzo mało i dlatego ceny, które można uzyskać za znaczki w Polsce, nie są miarodajne dla ustalenia wartości sprzedażnej. W każdym razie trzeba odróżnić znaczki klasyczne, których ilość jest oczywiście ograniczona — od nowszych. Jeżeli jako zbieracz zwracam się do którejkolwiek firmy zagranicznej o przesłanie pewnego oznaczonego znaczka klasycznego, to z reguły cena jest wyższa, niż cena katalogowa, a na moje objekcje firma odpowiada, że ceny katalogowe odnoszą się do znaczków średniej jakości. Jeśli ktoś chce mieć wyjątkowo piękny egzemplarz, musi zapłacić cenę ponad katalog... Przy znaczkach klasycznych można uzyskać jedynie opust 10—20%, jeśli znaczek kupuje się u firmy, której gwarancja na prawdziwość ma znaczenie światowe.

Znaczki „secunda jakości" mają wartość 5% cen katalogu, a nasi handlarze sprzedając je za cenę 10—20%, pięknie zarabiają, a nabywca ma złudzenie, że za bezcen nabył drogą markę. Decydują tu przedewszystkiem ceny rynku międzynarodowego.

Ocena więc wartości sprzedażnej znaczków pocztowych, podana w „Asie" jest mylną, o ile dotyczy znaczków klasycznych. Co do marek nowych, to uchyla się z pod mojej krytyki, gdyż marek tych nie zbieram, ale wydaje mi się, że jest znacznie wyższą od podanej w przeczytanym artykule".

Z punktu widzenia dyskusyjnego, wywody powyższe są nazwyczajnie wartościowe, ale sprecyzujmy na razie rozpiętość naszych poglądów. Podaliśmy, że zbiór ogólny można spieniężyć za gotówkę w sklepie za 20% wartości katalogowej globalnej sumy cen wszystkich nieuszkodzonych egzemplarzy. Pan mecenas Landau twierdzi natomiast, że jeśliby ktoś pozbył się zbioru klasycznego niżej 70—80% ceny notowanej, poniósłby wielką szkodę. Powiedzmy nawet, że firma zapłaciłaby 40%!! Jest to fizyczna niemożliwość, bo cenniki i oferty najpoważniejszych przedsiębiorstw polskich, a także bardzo wielkich zagranicznych, żądają za egzemplarze bez zarzutu, notowane 10—100 Mk, właśnie 40%. A zresztą ze względu na przepisy dewizowe nie możemy dzisiaj otrzymać nic ze zagranicy i nolens volens kontentujemy się materjałem, istniejącym na

miejscu. Czy zapasy te nie zaspakajają naszych potrzeb, to także problem, bo zbieracży tylko znaczków klasycznych jest może zaledwie 1% wśród ogółu, a w nowościach są znajomi nam kupcy bardzo „silni". Tutaj zaś do wyjątków należy cena ponad 40% i... niestety dzisiejsze pokolenie woli „Liechtenstein z Zeppelinem" lub „dopłatę prążkowaną pionowo", aniżeli klasyczną a zawsze niepewną Bremę czy Lubekę.

Zbiór o poziomie kolekcji mec. Landaua nie jest objektem na miarę przeciętnego polskiego nabywcy, ale przy dokładnem obliczeniu cen i podzieleniu obecnych notowań przez 4 (czyli 25% katalogu) otrzymamy często 100% ceny z przed 4 lat. Mówiliśmy ponadto o przeciętnym zbiorze, w którym ilość sztuk luksusowych jest znikoma, a argument o ograniczonej liczbie znaczków odnosi się również do wszystkich lepszych nowości o małym nakładzie, których nie było i nie może być więcej. Prosimy wszystkich o głos, którzy są w tej sprawie zainteresowani. **W. H.**

* * *

KRAKOWSKI KLUB TOWARZYSKI (Stowarzyszenie zarejestrowane) organizuje sekcję filatelistyczną. Pierwsze zebranie odbędzie się w piątek 16 bm. we własnym lokalu przy ul. Felicjanek 6, I. p., o godz. 19.30 (tel. 126-55).

Dokończenie ze strony 5-tej.

Kobiety zrozumiały to naogół i dlatego coraz rzadziej widzi się młodą i zdrową dziewoję, spoglądającą z miną skrzywdzonej królowej na mężczyznę w sile wieku, który jej nie ustąpił miejsca w tramwaju, lub nie niesie jej plecaka na wycieczce.

Z drugiej strony z przykrością widzi się, gdy w biurze lub urzędzie mężczyzna nie udziela z należytą troskliwością i wyrozumiałością pomocy kobiecie, która z natury słabo wyznając się na zawiłych biurokratycznych przepisach, błądzi bezradnie od Annasza do Kaifasza. Kto wie, gdyby temu znudzonemu i lakonicznemu panu odleciał guzik od spodni, czy nie byłby równie bezradny i zdany na pomoc niewieścią.

O jednej formie rycerskości, godnej uwagi, wspomnę: o tej, która się objawia w delikatności wobec kobiet. Będzie to przedewszystkiem szanowanie ich wrodzonej wstydliwości i niepozbawianie ich tej cechy dla chwilowej zabawy, co zresztą w żadnej sytuacji nie jest potrzebne. Powtóre będzie to szanowanie miłości własnej kobiet, objawiające się w tem, że mężczyzna będąc w towarzystwie dwóch lub więcej kobiet, nie będzie wyraźnie i rażąco preferować ładnych, a pomijać i traktować jak powietrze—brzydszych. Na objawienie swego podziwu ładnej kobiecie zawsze można znaleźć odpowiednią chwilę, bez urażania tem innych.
Almaviva.





OD • ŚWISTAKA • DO • SUSŁA • CENTKOWANEGO



Powyżej: Amerykański suseł, podpierając się ogonem, stoi wyprostowany, co pozwala mu objąć wzrokiem szerszą przestrzeń.



Na prawo: Młode amerykańskie pieski stepowe, to niezwykle żywe i wesołe zwierzątka. Zdjęcia: F. Fuerst, Paryż.

Do szczęśliwego przypadku musi zaliczyć turysta spotkanie ze świstakiem. Nie tak łatwo bowiem podejść do tych płochliwych stworzeń, które za lada szelestem umykają do swych kryjówek, ostrzeżone głośnym świstem jednego ze swych strażników.

U podnóży strzelistych i nagich turni mieszkają gromadnie te rzadkie dzisiaj, a tak charakterystyczne dla naszych Tatr — zwierzęta. Młode igrają beztrosko pod opieką swych rodziców, a zwłaszcza ojca, który stając słupka rozgląda się bacznie wokoło i w razie niebezpieczeństwa wydaje ostrzegawczy, przenikliwy świst.

Natychmiast kończy się wesoła zabawa i rozigrana gromadka znika w okamgnieniu w podziemnych mieszkaniach, wykopanych mocnemi nogami rodzicielskiemi. Zalega cisza. — Świstaki dają się słyszeć w górach tylko w lecie, milkną w jesieni, gdyż stają się senne i ociężałe, aż wreszcie zasypiają mocnym i prawdziwie kamiennym snem w specjalnych, zimowych mieszkaniach, założonych niżej od letnich kryjówek i doskonale zabezpieczonych przed wniknięciem ostrego i zimnego górskiego powietrza.

Ten twardy zimowy sen zgubił już wiele świstaków. Mięso ich uchodziło za smaczne, futerka za cenne, a sadło miało leczyć różne dolegliwości. Toteż górale wykorzystywali ich niemoc i wyłapywali chciwie, aż wreszcie pozostała tylko nieliczna garstka tych miłych i zupełnie nieszkodliwych, bo żywiących się tylko roślinami, mieszkańców gór, które musiano ochronić przed zupełną zagładą.

Prócz świstaków górskich, znanych z Tatr, Alp i Pirenejów, żyje na stepach wschodniej Europy ich bliski krewniak, zwany bobakiem. Niegdyś występował on także na południowo-wschodnich kresach ziem polskich. Spotkać go można również na dużych obszarach w Azji aż po Amur. Bobaki kopią głębokie nory, do których prowadzi wspólne wejście, rozdzielające się następnie na korytarze, prowadzące do oddzielnych komór. Niekiedy znajduje się jakgdyby całe miasto podziemne, założone wspólnemi siłami przez te gryzonie. Podobnie, jak świstaki, są one bardzo płochliwe i za najmniejszym szelestem zmykają do swych kryjówek. Pożywienie ich stanowią korzonki roślin, oraz jagody.

W wielkich, górskich obszarach środkowo-azjatyckich występują gdzieniegdzie licznie jeszcze inne gatunki świstaków, które opisywał m. in. polski podróżnik Grąbczewski.

Ze świstakami wysokogórskimi Starego Świata blisko spokrewnione są świstaki północno-amerykańskie, a zwłaszcza z Alaski i Kanady. Żyją one, podobnie jak ich europejscy i azjatyccy krewniacy w obszarach górskich, tworząc mniej lub więcej liczne gromadki.

Od tych świstaków różnią się znacznie sposobem życia pospolite w wielu Stanach Ameryki pn. świstaki leśne (Marmota monax), zwane przez Amerykanów „woodchuck" lub „ground hog" (świnka ziemna). Jest to jedyny świstak, żyjący pojedynczo i zamieszkują-

cy obszary leśne. W odróżnieniu od gatunków Starego Świata, posiada on długi i owłosiony ogon oraz bardziej wydłużony pysk, przypominający tak wyglądem jak i zwinnością wiewiórkę. Nieobecny w bardziej uprzemysłowionych obszarach, szczególnie licznie występuje jeszcze w rezerwatach, w które obfitują Stany Zjednoczone Ameryki pn.

Przejście od świstaków do susłów, które również należą do gryzoni, stanowią tak zwane pieski stepowe (Cynomys socialis), żyjące u podnóża Gór Skalistych, na rozległych stepach. Małe te zwierzątka niczem nie przypominają psa, a nazwę otrzymały z powodu głosu, przypominającego szczekanie.

Ogromne osady tych zwierząt, poprostu „wsie" całe, są gwarne i pełne życia. Zwinne zwierzątka uwijają się szybko i pracują zapamiętale. Jeden obok drugiego, w odległości 5—6 metrów wznosi się kopiec, usypany z ziemi, pomiędzy zaś kopcami biegną wydeptane ścieżki, świadczące wymownie o przyjaznych stosunkach, panujących pomiędzy poszczególnemi rodzinami tych zwierząt, oraz wzajemnych, częstych odwiedzinach. Wejścia u stóp kopców prowadzą do podziemnych mieszkań. Obszary, na których gnieżdżą się pieski stepowe, są bardzo suche i na znacznej przestrzeni pozbawione wody. Również woda gruntowa znajduje się bardzo głęboko, bo do 30 metrów pod powierzchnią ziemi. Jednak pieski nie doznają pragnienia, gdyż do jego ugaszenia wystarczy im ta ilość wody, która wraz z rosą pokryje źdźbła traw.

Zwierzątka te zależnie od pogody i pory roku czynią pewne zmiany w swych budowlach. Pod jesień zamykają one wejścia do swych nor, zasypując je ziemią, aby ostre powietrze nie przedostawało się do wnętrza — w lecie zaś, zwłaszcza po obfitych deszczach, gdy słońce zacznie silnie przygrzewać, przebijają w ścianach swych domostw specjalne kanały powietrzne, niby wentylatory, dla odprowadzenia nagromadzonej pary wodnej i osuszenia mieszkania

Zwierzęta pracują. Na każdym niemal kopcu niby strażnik czuwa jeden z piesków. Stoi jakgdyby na baczność, wyprostowany i bystrym wzrokiem wodzi wokół, czy jakieś niebezpieczeństwo nie zagraża. Gdy tylko zauważy coś podejrzanego, wydaje ostrzegawczy głos. Momentalnie znika pracowity „ludek" i kryje się pod ziemią, aby ukazać się znowu na jej powierzchni, gdy zapanuje spokój.

Pod koniec października osady piesków stepowych zdają się zamierać. Zapanowuje cisza i spokój, które trwają nieprzerwanie aż do wiosny, do pięknych i słonecznych jej dni.

Przejście od susłów do wiewiórek stanowi amerykański gryzoń „chipmunk" (Tamias striatus), posiadający torby policzkowe, w których przenosi pokarm do swych gniazd. Daje się on łatwo oswajać.

Związany węzłami pokrewieństwa ze świstakami, a także przypominający je bardzo sposobem życia, jest jeden z najpiękniejszych, a zarazem najmniejszych susłów, amerykański, suseł centkowany (Ictidomys tridecim lineatus). Od jaśniejszego tła podbrzusza pięknie odbijają pasy, biegnące wzdłuż grzbietu, naprzemian jaśniejsze i ciemniejsze, te ostatnie pokryte jasnemi plamkami, biegnącemi rzędem, jedna za drugą. Typowo stepowe te zwierzątka rozprzestrzeniają się bardzo szybko i w miarę wycinania lasów zajmują coraz to dalsze tereny. Liczebność ich w połączeniu z wielką żarłocznością staje się nieraz groźną dla plonów człowieka. Poza myszami bowiem, licznymi robakami i owadami i to przeważnie szkodnikami, nawet jaszczurkami, zjadają bardzo wiele ziarna, które również gromadzą w swych podziemnych mieszkaniach, uszczuplając przez to znacznie dobytek ludzki.

Gwarno i wesoło jest w osadach tych zwierzątek, zwłaszcza w dni ciepłe i słoneczne. Słychać zewsząd ich ostre i wysokie głosy, wydawane niby szybko po sobie następujące tryle. Zabawnie wyglądają zwierzątka, gdy stoją na czatach wyprostowane i sztywne, podparte ogonem i gotowe umknąć każdej chwili, gdy zajdzie tego potrzeba. Samczyki często walczą ze sobą, a na walkach tych najbardziej cierpią ich własne ogony, które wytargane i okaleczone już nie odzyskują swej piękności. Pod jesień tracą swą gibkość i zwinność, przybierają na wadze, następnie zamykają się w swych mieszkaniach i śpią twardo i głęboko. Stąd też przysłowie: „śpi jak suseł".

Istnieje wiele jeszcze gatunków tych zwierzątek, jakkolwiek miłych, jednak w zbyt wielkiej ilości mogących stać się dla człowieka nawet klęską. Toteż niejednokrotnie giną one z ręki człowieka, bądź to wyrzucane z nor przez wlewanie wody do ich otworów, a następnie zabijane, bądź też chwytane w sidła. Skórki ich znajdują zastosowanie w handlu futrzarskim.

Wszystkie te zwierzęta należą do bardzo licznej grupy, noszącej miano gryzoni. Odrębny wygląd nadaje im charakterystyczne uzębienie, a zwłaszcza siekacze po 2 z góry i z dołu, zachodzące na siebie i stale odrastające. Niewiele tylko z nich przynosi człowiekowi pożytek przez dostarczanie cennych futer (bobry, szynszyle, popielice). Przeważająca większość (myszy, szczury, chomiki i inne) może stać się prawdziwą klęską dla gospodarstw rolnych czy leśnych, zwłaszcza przy gwałtownem rozmnożeniu i wielkiej żarłoczności.

Dr Z. M.

ODWET

★

NOWELA

MARJA NADACHOWSKA-KNIAGININOWA

Pierwsza Kompanja Strzelecka Baonu Nr. 5 b. maszerowała szeroką, leśną szosą. Niedawno „odtrąbiono", więc chłopcy palili papierosy, rozmawiali, jedli wydobyte z kieszeni jabłka, któremi częstowały ich we wsi dziewczęta i dzieci. Wszyscy byli piekielnie zmęczeni, lecz trzymali się dzielnie. Wytężonym marszem wracali z ćwiczeń.

Szosa biegła między zachodem a wschodem, to też o tej godzinie panował na niej głęboki cień. Las był sosnowy, bez podszycia, daleko można było widzieć czerwonawy bronz pni.

Stefan szedł w drugiej czwórce na prawem skrzydle. Przed sobą miał Maćka Choińskiego, obok Piotra Kośmidrę. Kiedy po raz pierwszy kompanja stanęła w szyku, zdał sobie wyraźnie sprawę, że to jakiś szatański, złośliwy zbieg okoliczności kazał mu maszerować przez 12 miesięcy obok Kośmidry.

— — — — — — — — — — —

Piotr Kośmidra. Wysoki, szczupły, giętki jak trzcina, prześliczny jak panna chłopak. Bujna, czarna czupryna rysowała głębokie kąty na jego wysokiem, inteligentnem czole. Duże, niebieskie, promieniste oczy narzucały porównanie z gwiazdami. Prosty nos, piękne zmysłowe usta i jasna, delikatna cera z lekkim sinawym cieniem zarostu, dopełniały jego urody, pełnej wdzięku i powabu, choć zbyt mało męskiej.

Stefan znał Kośmidrę od lat dziecięcych. W małej osadzie fabrycznej kończyli razem szkołę powszechną, w Chyrowie gimnazjum, potem spotkali się na wydziale prawa w Krakowie i teraz w wojsku. Stefan uważał to za jakieś przekleństwo losu.

Jak przez ironję dla kontrastu postawiło ich życie obok siebie. Stefan był brzydki. Miał wybitnie nieregularne rysy i tylko patrząc w jego ciemne, pełne wyrazu oczy, zapominało się o tem.

Powierzchowność odgrywa czasem decydującą rolę. To też Piotr szedł przez życie lekko, bez wysiłku. Uroda zrodziła w nim pewność siebie, a tupetem i wesołem usposobieniem pozyskiwał sobie wszystkich i znajomych, profesorów, kolegów, dziewczęta.

Stefan był bodajże jedynym jego wrogiem. Jako małe dziecko zazdrościł mu pieszczot i zachwytów, któremi obsypywano go nawet wtedy, gdy zasługiwał na karę, podczas gdy na niego, Stefana, nikt nie zwracał uwagi. Był brzydki. Cóż wobec tego znaczyło jego układne, wzorowe zachowanie? Powoli rozwinęła się w nim natura nieprzystępna, zamknięta w sobie.

W Chyrowie obaj uczyli się wybitnie dobrze. Wywiązała się rywalizacja i na tem tle coraz żywsza, obustronna niechęć. Piotr, zepsuty powodzeniem, nie mógł znieść myśli, że go ktoś może wyprzedzić, dokuczał Stefanowi, skarżył na niego, posuwając się do kłamstwa, ambitny, pracował wytrwale, a ponieważ w alfabecie był przed Stefanem, więc choć obaj mieli równe stopnie, Piotr był prymusem. Czyż Stefan nie miał prawa uskarżać się na los?

Przeszły lata dziecinne i chłopięce.

I... stało się to, o czem Stefan nie zapomni nigdy, to co zapadło kamieniem w jego serce, bo zabiło w nim radość życia i młodość.

W jesieni po maturze znaleźli się obaj w Krakowie i spotkali w długim ogonku przed dziekanatem prawa. Stefan szybko odwrócił głowę w drugą stronę i Piotr urwał w połowie swój łaskawy, pobłażliwy ukłon. Stefan nie chciał się z nim spotykać, nie chciał podtrzymywać tej znajomości. Ażeby ułatwić sobie pozorne niezauważenie dawnego kolegi, zajął się skwapliwie rozmową z jakimś świeżo poznanym prawnikiem.

— Gdzie mieszkacie? — pytał nowy znajomy.

— Prywatnie u pp. Stadnickich. Bardzo kulturalny dom, jakieś zubożałe arystokratki, zdaje się — opowiadał Stefan. — Mieszkają tam trzy akademiczki, jakiś medyk i ja.

— Panny interesujące?

— Gadatliwe, wesołe i pracowite, z wyjątkiem jednej, która niewiadomo co studjuje. Zadowolony jestem i z mieszkania i z towarzystwa.

Istotnie Stefan, jak zawsze trochę dziki, nadspodziewanie dobrze czuł się w tem nowem środowisku. Staruszki wyraźną czuły dla niego sympatję, a panny to zaczepiały go zalotnemi spojrzeniami, to wyciągały do kina, teatru i na spacery w wolne, niedzielne popołudnia. Praca na uniwersytecie interesowała go bardzo. Był zadowolony z życia.

Pewnego dnia pokojówka Marysia z tajemniczą miną doniosła mu, że rano sprowadziła się nowa lokatorka.

— Ależ to panienka! Proszę siadać, jaka piękna!

Niechętnie przyjął tę wiadomość. Może się skończy miły nastrój, może w koleżańską atmosferę wtargnie dysonans. Któż to wie? Ale równocześnie był trochę ciekawy. Ładna, więc jaka. Czy miła? Jak się rusza, jaki ma głos? I co studjuje? Nie poznał jej jednak tego dnia, bo panna daleką podróżą była zmęczona i spała.

Na drugi dzień, gdy poszedł płacić rachunek (było to zaraz po pierwszym), zastał nową lokatorkę u p. Stadnickiej. Był zaskoczony. Myślał o klasycznej, skończonej piękności... Zobaczył zaledwie urodziwą dziewczynę... A jednak... Omotał go urok niewysłowiony, czarujący wdzięk wiecznej, niegasnącej kobiecości, słodycz, zalotność, trochę melancholji i łobuzerji.

Za chwilę zapomniał, że oczy miała piwne i długie rzęsy i włosy ciemno-kasztanowe, zwinięte w kokieteryjne loki, że miała śniadą cerę, że była wysoka, szczupła, zgrabna. To wszystko, gdy zniknęła z pola widzenia, usunęło się na drugi plan, pozostał jakiś subtelny nieokreślony czar, z którego trudno się było otrząsnąć i żal, że jej już niema.

Przyjechała uczyć się muzyki u profesora Petruniego. Skończyła konserwatorjum we Lwowie, może pojedzie za jakiś czas zagranicę. Tymczasem chce poprawić akordy, a profesor Petruni jest mistrzem w tym kierunku. Ćwiczyła przedpołudniem, gdy wszyscy wychodzili na wykłady. Stefan usłyszał ją raz grającą i coraz częściej rano zostawał w domu. Kochał muzykę bez pamięci.

Po paru tygodniach stali się nieodstępnymi towarzyszami. Razem chodzili do teatru, do kina i na koncerty.

Stefan poznał miłość. Tę jedyną, którą się tylko raz, później czy wcześniej, przeżywa, której się szuka przez długie lata pomyłek.

Weronika lubiła jego towarzystwo, lubiła długie, poważne rozmowy, jakie z nią prowadził, wabiła ją jego siła, męskość i jego wielkie, na dramatyczną miarę rosnące uczucie.

Kiedy jej w jakiś grudniowy wieczór wyznał miłość, przyjęła to z głębokiem, szczęśliwem wzruszeniem, jak coś, na co się długo czeka.

W święta, uzyskawszy błogosławieństwo swej matki, pojechał do jej rodziców i zaczęło się ich szczęśliwe narzeczeństwo.

Dopóki był śnieg, wyjeżdżali razem na narty w okolice Lanckorony, Makowa, Zawoi. Z wiosną zaczęli zwiedzać Kraków. — Stefan miał duże poczucie piękna, znał historję miasta doskonale, a opowiadał tak niezwykle, że Weronika słuchała jego słów, jak czarownej baśni. Jakaś linja portalu, okien czy róży, jakaś ażurowa galeryjka stawała się punktem wyjścia najsubtelniejszych rozmyślań o przeszłości, o naturze człowieka i życiu. Weronika podziwiała głębię jego umysłu, trafność sądu i żywość odczuwania. Upajała się wizjami, jakie budził w jej duszy. Stefan zawładnął nią niepodzielnie. Rozbudził w niej nowe zainteresowania, zamiłowania, dzięki niemu lepiej zaczęła rozumieć i odczuwać sztukę, więc i muzykę.

— Jestem bogatsza, Stefanie, o wszystkie twoje myśli, o całą twoją duszę. Dałeś mi największy skarb, jaki można ofiarować człowiekowi.

A on czuł, jak mu się w sercu przelewa gorącą krwią wzruszenie i miłość. Była natchnieniem jego życia, jego najczystszą, najmocniejszą wiarą w człowieka, jego odpoczynkiem, radością, szczęściem... Szaleństwem spragnionych, bezsennych nocy... Tęsknotą...

Czy stanie się spełnieniem?

— Weroniko? — Nie, Stefan nie może mówić. Patrzy w ciemne oczy dziewczyny i z miłości omdlewa w nim serce.

Weronika opuszcza powieki, długie rzęsy rzucają na gładkie, śniade policzki głębokie cienie.

Jakże się to stało, że wszystko minęło, że wszystko przepadło, że się wszystko popsuło? Wszystko, prócz jego miłości.

Jeszcze w lecie, jeszcze w jesieni nie można było przewidzieć tego, co się dokonało w jakąś zimową noc.

Przyszedł karnawał. Weronika lubiła namiętnie tańczyć. Od kiedy się zaręczyła, wyrzekła się tej przyjemności — na jakiś czas, lub może miała tak wypełnione dnie i tak się jakoś nie składało — teraz ze zdwojoną siłą wybuchła jej namiętność. — Chciała tańczyć.

— Stefanie, chodźmy na bal, chodźmy na dancing, chodźmy na tańcującą herbatkę.

Aż wkońcu Stefan, który nie tańczył i nie lubił atmosfery sal dancingowych, niecierpiał reprezentacyjnych bali, ani szarych, bezbarwnych herbatek tańcujących, zadecydował, że Weronika może pójść sama z ciotką lub koleżankami. Niech się zabawi. Jest tak młoda i tyle jej to radości sprawia.

Dokończenie na str. 14-ej.

W SALONACH MISTRZA KOBIECEJ FRYZURY

Rewja Antoine'a



Na lewo: „Bal maskowy" — projekt stylizowanego uczesania i kostjumu, opracowany przez Antoine'a dla rewji amerykańskiej.



W kole: Antoine-Cierplikowski.

Fot. Z. Różański. Nowy Jork.



Poniżej: „Wenus" według Boticellego — projekt uczesania opracowany przez Antoine'a dla rewji amerykańskiej.

W Paryżu odbył się niedawno z racji „wielkiego sezonu" bankiet, na który otrzymało zaproszenie 300 osób z elity nadsekwańskiej stolicy. W niezwykle barwnym programie tego bankietu, wydanego na cel dobroczynny, jednym z najbardziej atrakcyjnych punktów był pokaz fryzur, przygotowany przez „poetę fryzury", Polaka Cierplikowskiego, słynnego w Paryżu mistrza Antoine.

W pokazie tym wzięły udział wyłącznie damy z wielkiego towarzystwa paryskiego. Antoine uskrzydlił całą swoją bogatą fantazję i przybrał te piękne kobiety w stroje różnych epok. Widzieliśmy tam epokę Ludwika XIV, zmartwychwstałego na swoje 300-lecie i epokę Velasqueza, a potem piękność perską i małżonkę Tutankhamena, Chinkę i Wenus Boticellego i Meduzę Leonarda Da Vinci. Widzieliśmy wizje Watteau zarówno jak Goyi, a każda kreacja inaczej była wyrzeźbiona z tkanin ze złota i srebra, z kwiatów i sznurów, uwypuklających przedziwne piękno włosów, ułożonych rękami artysty.

Jedyna ta w swoim rodzaju defilada trwała 20 minut. Wywarła ona niezwykle silne wrażenie i z pewnością nie będzie tak prędko zapomniana przez tych, którzy ją podziwiali.

Pod jej wrażenem udałem się do pracowni mistrza, gdzie powstały te pełne piękna i fantazji kreacje. Antoine wciąż pracuje. Wydaje się, że nie odpoczywa ani przez chwilę w ciągu żmudnego dnia. Obecnie przygotowuje fryzurę dla Cecile Sorel, która wkrótce wyjeżdża do Ameryki Południowej na liczne występy.

W głębi gabinetu „poety fryzury" stoją szafy pełne dokumentów i fotografij. — W tych fotografjach uwidocznione są najpiękniejsze kreacje Cierplikowskiego. Oto fryzura księżnej Murat według obrazu Holla Juolo z muzeum Chantilly... dalej fryzura wicehrabiny Benoist, która wyobraża Wenus Boticellego... Oto fryzura Cecile Sorel w stylu Ludwika XIV... a potem fryzura Infantki, noszona przez panią de Rochefoucault na balu velasquezowskim... i tyle, tyle innych...

Antoine tak mówi o swych kreacjach:

— Fryzura musi być tworzona specjalnie dla danej głowy, bo tylko wtedy możliwa jest jej odpowiednia stylizacja, dobór, umiar fantazji i poryw natchnienia. Tej samej fryzury nie powinna nosić kobieta we wszystkich okolicznościach. Są w życiu wieczory, które winny się różnić od wszystkich innych, a w taki wieczór kobieta powinna mieć specjalną fryzurę. Na ten jeden wieczór tylko — tak jak raz jeden tylko nosi się jakąś niezwykłą tualetę. Są pory dnia, wymagające loków, są inne, wymagające fal... A przedewszystkiem wtedy można dopiero dostosować odpowiednią fryzurę, skoro odgadnie się duszę danej kobiety.

Antoine często bywa w Ameryce. W bardzo ciekawy sposób porównuje on starą i nową ziemię.

— Zamało zdajemy sobie sprawę z amerykanizacji — i to w sensie ujemnym — życia w Europie, a zwłaszcza w takich centrach, jak Paryż. Tu wszystko opiera się na reklamie. Każde „nic" można przereklamować, a wartość żadna nie zdobędzie popularności, dopóki nie zdecyduje się na reklamę. Prawdziwy artysta, prawdziwy twórca nie powinien się jednak tak sprzedawać! W Ameryce więcej dzieje się nowego, więcej słyszy się wciąż o jakichś zdobyczach na różnych terenach, a wieści te pobudzają myśl i ambicję coraz to nowych ludzi. Tak się złożyło, że i ja mam dużą reklamę i gdzie przyjadę, wita mnie kilkudziesięciu reporterów. Ale z reklamą tą ja osobiście nie mam nic wspólnego. Dlatego też nie komercjalizuję mej pracy w Paryżu i pragnę pozostać nazawsze w zakresie sztuki. Nie chcę się poddać, chcę walczyć o swoją indywidualność. Gdybym nawet miał pozostać w cieniu — i tak nie ulegnę. Jeśli chodzi zresztą o Francję, jest ona wymarzoną ojczyzną sztuki. Wszelkim talentom pomaga już sama jej atmosfera.

Potem w dalszej rozmowie poddaje mistrz Antoine surowej krytyce wystawę paryską z ubiegłego roku.

— Nie wniosła ona wiele nowego. Nie mówię o muzeach i wystawach, ale z punktu widzenia tworzywa artystycznego. Obliczona była na zbyt wielkie tłumy, a nawet jeśli były cenne szczegóły, to zniknęły w tej masie.

A potem jeszcze mówi o swej pracy i podkreśla, że nie powiększa swego zakładu, by móc osobiście pracować i osobiście wszystkiego doglądać.

— Zdobyłem powodzenie, to prawda, ale zdobyłem je własną pracą. I mojem zdaniem każdy, kto tworzy, powinien tak samo zapatrywać się na pracę.

W tej chwili weszła Cecile Sorel. Zwierzenia polskiego „poety fryzury" w Paryżu zostały przerwane...

Zygmunt Frenkiel (Paryż).

NOWY KONKURS MAGAZYNU „AS"



JAK SPĘDZAM WAKACJE?

5 cennych nagród!



Pięć najoryginalniejszych zdjęć otrzyma cenne nagrody, któremi są: Aparat Cine Kodak 8 model 20 i aparat Kodak Regent f. 4.5, ofiarowane przez Firmę „Kodak" Warszawa I, Plac Napoleona 5 — dalej wytworny neseser podróżny, ofiarowany przez Firmę Anastazy Froncz, Kraków, ul. Florjańska 17 — oraz dwie nagrody ofiarowane przez Wydawnictwo Magazynu „As": Aparat radjowy „T 4 z", — czterolampowa superhetorydyna marki Telefunken i półwyścigowy rower, fabryki Rybowskiego.

Na lewo: „Wenus zrodzona z morskiej piany". Fot. W. B., Katowice.

Na prawo: Margerita Leyser i jej czworonożny „przyjaciel" zgłaszają się do Konkursu z Davos.





Na prawo: „Nad jeziorem w Międzybrodziu". Fot. Sylwester Wybraniec — Brzezinka.



Poniżej: „W oczekiwaniu na wagonik". Fot. St. Kluz, Lubasz.

Nasz „Konkurs wakacyjny" wzbudził wśród Czytelników wielkie zainteresowanie, czego dowodem są licznie nadsyłane zdjęcia. — Niestety nie wszystkie one odpowiadają warunkom konkursowym. Przedewszystkiem trzeba pamiętać o tem, aby zdjęcie wykonane było nienagannie pod względem technicznym, to jest, aby odbitka posiadała odpowiednią kontrastowość, była czysta i przejrzysta, następnie, aby samo ujęcie tematu przedstawiało pewną wartość artystyczną i było naprawdę interesujące. Wybór tematu jest niemniej ważny. Fotografowanie wszystkiego, co się napotka na drodze, nie prowadzi do celu. Trzeba umieć patrzeć na przedmioty i krajobraz — trzeba zdobyć się na wydanie kilku złotych więcej, popsuć większą ilość klisz czy filmu i wreszcie dojść do zdjęcia, które sprawi prawdziwe zadowolenie nietylko autorowi, ale i wszystkim, którzy je oglądać będą. Tylko trochę cierpliwości i uwagi!

Do postanowień konkursowych dodać jeszcze musimy, że każdy uczestnik Konkursu może liczyć na zamieszczenie **najwyżej dwóch** z pośród nadesłanych przez siebie zdjęć. Gdybyśmy bowiem chcieli wykorzystać wszystkie już przysłane nam fotografje, natenczas Konkurs mógłby równie dobrze trwać przez rok, a może i dłużej.

„ROZKOSZE WAKACYJ" zdjęcie z „Konkursu wakacyjnego". — Fot.



Dokończenie ze str. 10-tej.

Nie widzi powodu, żeby musiał jej towarzyszyć. Straci napewno humor i będzie jej zawadą.

— Idź kochana! Baw się dobrze i tylko... pamiętaj o mnie!

Poszła raz i potem zaczęła bywać na wszystkich balach. Stefan rzadko ją teraz mógł widzieć. To odsypiała przetańczone noce, to mierzyła suknię u krawcowej, to czesała się u fryzjera, to znów...

Ich spotkania były teraz krótsze i smutne. Ona roztargniona, rozbawiona, wszystkiemi myślami tkwiła tam, gdzieś daleko, gdzie nie było miejsca dla niego, on, przerażony zmianą, z sercem ściśniętem śmiertelną trwogą, dławił się żalem i rozpaczą.

Długi w tym roku karnawał kończył się już. Za parę dni miał się odbyć bal, cieszący się opinją najelegantszego w Krakowie. Stefan postanowił towarzyszyć Weronice. Przyjęła to z lekkiem, swobodnem zdumieniem i kokieteryjnym uśmiechem.

W świetle kinkietów, w strojnym, różnobarwnym tłumie smukła, wdzięczna sylwetka Weroniki rysowała się najszlachetniejszą linją. W białej, gazowej sukni, której jedyną ozdobą były różowe goździki, fantazyjnie wpięte, wyglądała jak ledwie rozkwitły kwiat.

W pewnym momencie Stefan stracił narzeczoną z oczu. Niespokojny rozglądał się wokoło i nagle...

Serce zamarło mu w piersi.

Weronika tańczyła z Piotrem Kośmidrą. Tańczyła z Piotrem Kośmidrą...

Stefan nigdy nie widział jej tańczącej. Patrzył jak na nieznajomą. Była jeszcze smuklejsza, wyższa niż zawsze. Odkryte ramiona przegięte w upojeniu, głowa przechylona wtył, oczy przymknięte, rozchylone usta... Jej natchniona twarz wyrażała ekstatyczne uniesienie. Gibka gięła się w zwrotach, półobrotach tanga jak wąż. Była dotychczas czarującą dziewczyną, a oto stała się zjawiskiem, zwidem. Upijał ją taniec i muzyka, odurzał ją rytm.

Kośmidra tańczył jak młody bóg. Cieszyli się razem harmonją swych ruchów, zwinnością swych ciał. Byli sobie wdzięczni za doznania jakie przeżywali. Nie patrzyli na siebie, nie mówili nic. Tańczyli.

Stefan nie mógł rozeznać czy to jest modlitwa, czy wyuzdanie, czy to jest świętość, czy rozpusta, czy to jakiś rytualny taniec pogańskiej religji, czy może...

Zwłaszcza, że potem Weronika jak haszyszem odurzona z przymkniętemi oczami i jakimś nieziemskim uśmiechem nie mogła długo znaleźć słów ani głosu.

Piotr zato jeszcze bardziej niż kiedyś z góry traktując Stefana, mówił dużo, z ożywieniem i nieukrywaną ironją. Cały karnawał bawił się z jego narzeczoną, a on Stefan nic nie wiedział o tem.

Kończyło się wszystko... Stefan nagle tracił grunt pod nogami... tracił pewność siebie, ten atut, który tak często decyduje o zwycięstwie. Nigdy nie zapomni tej koszmarnej nocy, tych długich godzin męki niewysłowionej, tego upokorzenia, jakiego mu nie oszczędził największy wróg pod słońcem — Piotr, i najukochańsza na świecie istota — Weronika.

Dziś już nie potrafiłby opisać tych faktów, które towarzyszyły zerwaniu... Weronika odeszła z Piotrem. Nie odebrał sobie życia, nie stracił zmysłów... przeżył ten cios i — — żył.

Tylko, że jedyną jego własnością pozostanie na zawsze smutek, tylko, że już nigdy nie odnajdzie samego siebie, jak się to stało raz w miłości, w szczęściu. Bo miłość, ta jedyna prawdziwa nie zna powtórzeń.

A teraz — — — —

* * *

Szeroką, piaszczystą szosą, przecinającą sosnowy las, Stefan maszeruje obok Piotra Kośmidry.

Nienawidzi go, pogardza nim, zna małość jego duszy, słabość jego charakteru i — — jego szczęście.

— — — — — — — — —

W szeregach panował wesoły nastrój. — Ktoś podniesionym głosem opowiadał dowcipy. Raz po raz wybuchały salwy młodego, niefrasobliwego śmiechu.

Choiński obdarzony niezwykle subtelnym słuchem, odwrócił głowę i patrząc trochę ironicznie, powiedział:

— Słyszysz Kośmidra? To powstaje legenda o Tobie! Ha! Ha! Ha!

Ci młodzi chłopcy nieobeznani z wojskiem, różne tu mieli przygody. Drobne niepowodzenia stawały się przyczyną dobrego humoru, nabierali się, naciągali i tylko jeden Piotr ogromnie drażliwy na punkcie swej osoby nie znał się na żartach.

Śmiech rósł, jakieś opowiadanie z ust do ust powtarzane wkrótce doszło do pierwszych szeregów. Błażek Rogalski mówił głośno do swego sąsiada:

— Wczoraj na strzelnicy, ledwie który złapał karabin, dalejże strzelać. Kośmidra nie patrzył na nikogo, położył się na stanowisku i palcem w lufie dłubał. Pewnie chciał wydostać nabój! Myślał, że wystrzelił z palca. Dobrowolski go — panie tego — uspokaja, że wszystko w porządku, a on roztrzęsiony ze strachu jąka, że wy-wystrzeliło! Wystrzeliło tylko komu innemu!

— Kośmidra! wystrzel z palca! Pokaż jak się to robi!

Piotr nie odzywał się ani słowa. Poczerwieniał, zaperzył się, jeszcze chwila i wybuchnie złością. Nie umiał sobie radzić w wojsku, to prawda. Ale było takich kilku. Tylko, że on chorobliwie ambitny inaczej niż wszyscy reagował. Usiłował jak najwięcej czasu spędzać w izbie chorych, ale nie wychodziło mu to na dobre. Markierant, niedorajda, niezdara i jeszcze inne epitety przylgnęły do niego. Swoją przesadną drażliwością pogłębiał nieraz komizm sytuacji. Kiedyś raz zjawił się sierżant i pyta:

— Kto ma prawo jazdy na samochód, wystąp!

Piotr, nie mogąc ukryć dumy, że się nareszcie z szarego tłumu wyróżni, stanął przed szeregiem:

— Panie szefie, melduję posłusznie, że mam prawo jazdy.

— Doskonale! Wziąć wobec tego taczki i śmieci wywieźć z podworca.

Kompanja szalała ze śmiechu. Kośmidra pienił się ze złości. Nie umiał zdobyć się na swobodny uśmiech z kolegami. Powoli stał się kozłem ofiarnym.

Stefanowi ani na moment w takich chwilach serce nie drgnęło niedobrą radością. Nie zwracał uwagi, czy też wcale nie spostrzegał, że on zdobywa z każdym dniem większy szacunek kolegów i przełożonych, a Piotr staje się pośmiewiskiem Podchorążówki.

Kompanja znalazła się na asfaltowej szosie.

— Baczność — padła komenda.

Żołnierze odrzucili pośpiesznie niedojedzone jabłka, niedopalone papierosy, zamilkły wpół urwane śmiechy, niedokończone słowa. W nagłej ciszy skandowali rytm marszu.

Raz — raz — raz —

Głos porucznika wyrzucił w przezroczystość powietrza gromkie:

Spocznij!

Odprężyły się ciała, rozluźniły napięte baczności mięśnie.

— Kompanja śpiewa!

Jak stado ptactwa zerwały się młodzieńcze mocne głosy ulubioną pieśnią piechoty:

Maszerują chłopcy maszerują
Karabiny błyszczą, szary strój
A żołnierzom drzewa salutują
Bo za naszą Polskę idą w bój.
Nie mają wyłogów i szary ich strój
Nie mają ni srebra ni złota,
Lecz w pierwszym szeregu podąża na bój
Piechota, piechota, piechota.

Stefan doznawał dziwnie silnych uczuć, kiedy kompanja śpiewała w marszu.

Nastrój wojska, w którym rodziła się tężyzna nietylko fizyczna, ale i duchowa, wprowadzał go w świat, gdzie wypracowana w męce doświadczeń koncepcja życia uległa zupełnemu przewartościowaniu. Ślepe, jak niektórzy z jego kolegów mówili, bezmyślne posłuszeństwo, karność nie poddająca pod rozumowanie rozkazów, była nie biernością, lecz cnotą. Zredukowanie swej woli do granic wyznaczonych surowym regulaminem miało swe niezaprzeczone, głębokie znaczenie. Wolna nie znosząca przymusu natura Stefana, skłonna do buntu i sprzeciwu, poddawała się dyscyplinie wojskowej z jakiemś żarliwem uniesieniem. Rozkaz wstrząsał nim zawsze do głębi, zdawało mu się w chwilach, gdy wyprężony na baczność, słuchał padających słów, że na wszystko jest gotów.

Nawet śmierć zmieniła swe oblicze. Żołnierska śmierć, której woń wypełniała strzelnicę, śmierć o której tu mówiono, miała sens. Jedyna warta marzenia, jedyna warta życia — śmierć dla idei. Zaszczytna. Twórcza. Piękna.

Kompanja weszła na podwórze koszar. Jak trzask bicza padały komendy; czwórki załamały się, zakołysały, wyciągnęły w dwuszeregi, by rozsypać się w ruchliwy tłum zakurzonych, zmęczonych żołnierzy.

— — — — — — — —

Słońce ominęło południe i wolno chyliło się ku zachodowi, gdy I kompanja zajęła stanowiska na strzelnicy granatów.

Urządzono ją na pobliskiem wzgórzu, którego południowy stok obrastały drzewa i krzaki. Tam spoczywali, oczekujący swej kolejki żołnierze. Wąskim, niedługim tunelem przebijającym górę przechodziło się na drugą stronę wzgórza, gdzie znajdowały się stanowiska i właściwa strzelnica. Rzucało granaty po sześciu żołnierzy.

Między wezwanymi wysunął się Stefan i Piotr. Kapitan udzielił im w kilku słowach instrukcji i dał znak.

Stefan pewnym ruchem odsunął bezpiecznik i zwinnie daleko przed siebie wyrzucił granat, który zatoczywszy łagodny łuk spadł w odległości 40 mtr i z gwałtownym trzaskiem wybuchł. Odłamki pomieszane z ziemią rozprysły się w szerokim promieniu dokoła.

Inni mniej lub więcej zręcznie robili to samo, tylko stojący na lewo Piotr wahał się.

Nagle powziął decyzję, odciągnął bezpiecznik, rozmachnął się i — — granat, wyślizgnąwszy się mu z ręki upadł parę kroków obok niego.

Wszystkie myśli teraz jak błyskawica zalśniły w mózgach. Patrzących przeszedł dreszcz zgrozy.

Piotr przykucnął do ziemi, dygocąc z przerażenia. Twarz wykrzywił mu nieludzki strach. Był nieprzytomny, bezradny.

Stefan momentalnie objął myślą sytuację. Jeszcze ułamek sekundy i granat wybuchając, rozerwie Piotra. On sam jest bezpieczny. Zachowując pełną przytomność umysłu wiedział, że jedynym ratunkiem jest poprawić niezgrabny rzut. Szarpnęła nim gwałtowna walka. Serce dudniło głośno i prędko: „wróg — wróg — wróg" — a jakiś głos najmocniejszy nakazywał: „ratuj go". Narażać życie właśnie dla niego, dla Piotra Kośmidry?!

Nie było już wahania ani namysłu w jego ruchach, gdy szybko zwinnie skoczył, porwał granat i z całą mocą wyrzucił daleko poza okopy.

Ktoś mówił do niego zdyszanym głosem jakieś ważkie, mocne słowa — nie słyszał.

Myśli rozsadzała mu świadomość, że uratował życie człowiekowi, a serce biło mu — po raz pierwszy odkąd utracił Weronikę — cichą, szczęśliwą radością.

TRASĄ M. O. B...



Powyżej: Widok z Glion na Montreux i królujący nad niem szczyt Dents du Midi w masywie Mont Blanc.

Na prawo: Panorama Montreux od strony jeziora Genewskiego.





Na lewo: Słynny zamek Chillon w Territet pod Montreux

W Szwajcarji — jak w każdym kraju wysokogórskim — rozwiązanie problemu komunikacyjnego nastręczało niebylejakie trudności. Po wybudowaniu głównych tras kolejowych i gościńców dla komunikacji samochodowej, pozostały znaczne jeszcze przestrzenie kraju, leżące na uboczu, zdala od tych wielkich arteryj.

Na tych właśnie połaciach kraju spotkać było można urocze zakątki, których warunki klimatyczne, wspaniałe otoczenie i szereg innych walorów predestynowały je do wysunięcia się przy sprzyjających warunkach na czoło uzdrowisk alpejskich. W trosce o pomnożenie swych stacyj klimatycznych i powiększenie stanu posiadania przez wykorzystanie każdej doliny, przełęczy, każdego jeziora — ba! nawet każdego szczytu dla celów turystycznych i, co zatem idzie, gospodarczych — Szwajcarzy przystąpili do rozbudowy sieci swoich kolei, prowadząc niektóre jej odcinki w niezwykle trudnym terenie i pokonując przeszkody w sposób, budzący podziw dla techniki XX wieku.

Przy wyborze tras kolejowych często powiększano jeszcze te trudności budowy, prowadząc tory tak, aby jazda po nich dostarczała turyście jak największego bogactwa widoków. Rezultat tych starań przeszedł nieraz oczekiwania projektodawców.

Tak rzecz się miała przy budowie słynnej na świat cały trasy kolei M. O. B. (Montreux - Oberland Bernois), prowadzącej z Montreux nad jeziorem Genewskiem w głąb wyżu berneńskiego, w kierunku Interlaken.

Po założeniu tej trasy leżące wzdłuż niej miejscowości przemieniły się wkrótce w słynne na świat cały uzdrowiska. O nich pomówimy obszerniej w dalszej części artykułu. A teraz poznajmy bodaj w fragmentach historję powstania M. O. B.

Projektodawcom chodziło przedewszystkiem o związanie Montreux z Interlaken możliwie najkrótszą drogą, przyczem jednak brali oni pod uwagę konieczność poprowadzenia linji przez miejscowości, które na to w pełni zasługiwały, a były niemi: Les Avants, Montbovon Château d'Oex, Gstaad i Zweisimmen. Z tych Gstaad wykazywało największy rozwój, posiadając idealne warunki na stację klimatyczną o zakroju światowym. Zmobilizowano kapitał prywatny i obliczono, że na wybudowanie całej trasy potrzeba będzie 13 miljonów fr. szw. Zebrano je przy pomocy subwencyj kantonów Vaud, Fryburskiego i Berneńskiego, przyczem część kapitału oraz grunta pod tory dał Związek gmin, przez których terytorjum budowano kolej M. O. B. Ciekawem będzie tu wspomnieć, że idea poprowadzenia tą drogą trasy, która miała zbliżyć brzegi jeziora Lemańskiego i jeziora Thun, powstała jeszcze w r. 1873. *C. d. na str. 16*

Początkowo ograniczono się do budowy odcinka Montreux — Les Avants, który ukończono w kwietniu 1900 r. Dopiero w trzy lata potem przedłużono trasę do Montbovon, a w ciągu następnych dwóch lat linja wiodła już przez Château d'Oex — Gstaad i kończyła się w Zweisimmen, na 63-cim kilometrze, licząc od Montreux.

Pierwszy pociąg, który w dniu otwarcia trasy przejechał przez te miejscowości, był wszędzie witany z niezwykłym entuzjazmem. Niemniej entuzjastycznie usposobieni byli po wylądowaniu w Zweisimmen pasażerowie tego pociągu, którzy nie mieli słów podziwu dla wyjątkowych wprost walorów trasy M. O. B. (Tu wyjaśnić musimy, że kolej Montreux—Oberland Bernois znana jest pod tym skrótem na całym świecie). Aby zrozumieć podziw dla tej trasy każdego, kto bodaj raz w życiu tamtędy jechał, trzeba sobie uprzytomnić, iż wiedzie ona przez 100 dolin i na tej drodze pokonuje wzniesienie 1115 metrów, przebiegając przez jeden z najwspanialszych tuneli szwajcarskich pod szczytem Dent de Jaman, długi na 2454 m. Nie jest to jedyny tunel na tej trasie, bo jest ich więcej. Wszystkie one razem liczą 4256 m, stanowiąc 7% całej linji między Montreux a Zweisimmen. Tunele te nie są jedynem urozmaiceniem trasy M. O. B., która dla pokolenia przełęczy została przez nie przerzucona z pomocą niezliczonych mostów. Najdłuższy z nich, to ten pod Flendruz, na odcinku między Château d'Oex a Rougemont, długości 125 m. Wielkość i rozmaitość serpentyn jest tu również zdumiewająca i nastręcza jadącemu pociągowi wiele trudności. Może z tego powodu maksymalna szybkość jazdy nie przekracza na tej linji 50 km na godzinę. Wygląd pociągów, kursujących na trasie M. O. B., luksusowe urządzenie wnętrz wagonów, komfort, o jakim trudno pomyśleć w zwykłym pociągu — wszystko to było już nieraz przedmiotem zachwytu posażerów miejscowych i przybyszów ze świata. Tu wprowadzono też po raz pierwszy w r. 1906, jako na linji wysokogórskiej, specjalnie skonstruowany wagon restauracyjny, który podziwiali fachowcy na wystawie medjolańskiej.

Dążąc do zwiększenia sprawności pociągów, kursujących na trasie M. O. B., towarzystwo, eksploatujące tę linję, zainstalowało w r. 1933 nowe lokomotywy o sile 1200 HP., biegnące na 6 osiach.

W tem miejscu dodać musimy, że kolej M. O. B. jest w całości zelektryfikowana. Uruchamia ją trójfazowy prąd o napięciu 8000 volt, dostarczany przez elektrownię w Montbovon, którą poruszają turbiny wodne o sile 6000 HP. Elektrownia ta posiada na trasie 6 podstacyj z transformatorami. Nowe lokomotywy wyposażone są w rezerwowe akumulatory, które w razie nieoczekiwanej przerwy w dostawie prądu, poruszają motory. Tonaż jednego pociągu M.O.B. nie przekracza 200 tonn; jeden skład przewieźć może maksymalnie 400 pasażerów. Frekwencja na trasie M. O. B. była już w r. 1906

Dokończenie na str. 18-tej.





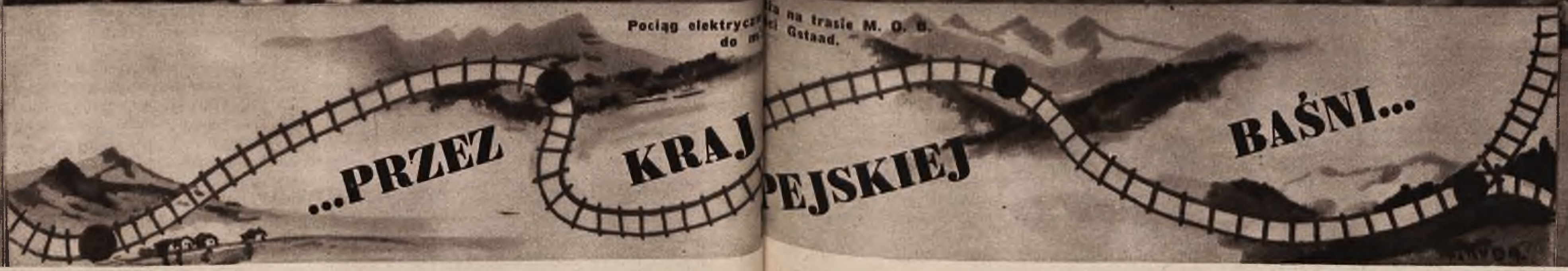


Poniżej: Na basenie w Chateau d'Oex.



Poniżej: Na kortach tenisowych w Gstaad.





Pociąg elektrycz... na trasie M. O. B. do m... Gstaad.

imponująca i legitymowała się liczbą 430.000 pasażerów, którzy wpłacili do kas Towarzystwa 1,120.000 fr. szw. — sumę, jak na ówczesne czasy bardzo wielką. Po wojnie cyfry te znacznie wzrosły. Statystyka z r. 1929 podaje liczbę pasażerów na 900.000, a obrót kasowy zamyka cyfrą 2,550.000 fr. szw.

To byłyby najważniejsze szczegóły, odnoszące się do historji powstania kolei M. O. B. i jej technicznych urządzeń. A teraz przypatrzmy się, jak wygląda podróż na tej trasie:

Rozpoczynamy ją w Montreux, o którem bez przesady można powiedzieć, że jest jedną z najpiękniejszych miejscowości Szwajcarji. Jeszcze przed 70 laty na tem miejscu żyło obok siebie tylko kilka schludnych wiosek. One to z biegiem czasu połączyły się w jedną całość i zabudowały szeregiem wspaniałych gmachów, które temu uroczemu zakątkowi jeziora Genewskiego nadały wygląd światowego uzdrowiska.

Na stacji w Montreux wsiadamy do błękitnych pullmanów kolei M. O. B. i już po chwili mkniemy po zawrotnych serpentynach, wijących się w górę zbocza Cubly na przełęcz Sonloup, w kierunku Les Avants. Jedno spojrzenie przez obszerne okno wagonu na taflę jeziora Lemańskiego, ponad którem — hen na horyzoncie — bieli się masyw Dent di Midi, upewnia nas, że przez te kilkanaście minut zdążyliśmy wznieść się w górę o paręset metrów.

Obrazy zmieniają się jak w kalejdoskopie. To, co przed chwilą widzieliśmy od strony zachodniej — teraz podziwiamy w zmienionej postaci od strony południowej. Każdy szczyt, fragment jego zbocza, wycinek doliny, partje świerkowych lasów — wszystko to przesuwa się przed naszemi oczami w tym kolejowym karuzelu, tak, że chwilami przymykamy je, znużone orgją barw, najcudniejszych kształtów, najbardziej tajemniczych nastrojów, jakich dostarczyć może turyście tak szybko zmieniający się krajobraz alpejski.

Mijamy piękne Les Avants, które swą sławę zawdzięcza narcyzom, rosnącym tu na polach w niezliczonych ilościach. Jedziemy wśród długich szpalerów tych kwiatów, a odurzająca ich woń podąża za nami...

Teraz trasa M. O. B. wkracza w wysokogórski teren i biegnie wzdłuż stromego zbocza, nad doliną, chroniona od lawin misternie zbudowanemi galerjami i wieloma tunelami. Koło Jor pociąg wpada w tunel Jaman, a wyjeżdżając z niego, znajduje się już jak gdyby w innym kraju.

Krajobraz zmienił się jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Szybkość jazdy zwiększa się, bo trasa opada gwałtownie w dół — raz wijąc się po przepaścistem zboczu, to znów zniżając swój bieg do szerokich łąk, pokrytych jak barwny dywan kwieciem. Jedziemy wzdłuż szumiącego potoku l'Hongrin, który toczy swe kryształowe wody po olbrzymich głazach... Na chwilę zapadamy w cień, ścielący się na tej stronie doliny od wyniosłych szczytów. Ożywczy chłód głaszcze nasze czoła, a wzrok podąża w górę, gdzie za cieniutką zasłoną z mgieł drzemią lodowe turnie...

Mijamy Montbovon i Rossiniere. — Pociąg nuża się w soczystej zieleni lasów. Co chwilę wypada na wąską polanę i wówczas w „oknie", wyciętem w długich szeregach drzew pojawia się wycinek poszarpanej grani, pod którą bielą się jasne smugi wiecznego śniegu. Jeszcze kilka zawrotnych serpentyn, potem skok przez niekończący się wiadukt, jazda przez dwa tunele i jesteśmy w Chateau d'Oex.

Już w r. 1830 miejscowość ta została „odkryta" przez cudzoziemców. Zamieszkała przez ludność, trudniącą się handlem drzewem i bydłem, szybko przemieniła się w stację klimatyczną o sławie światowej. Od roku 1894 zaczynają zjeżdżać do Chateau d'Oex narciarze którzy na okolicznych terenach, a przedewszystkiem w La Lecherette odnajdują jedne z najwspanialszych tras zjazdowych. Z tą chwilą Chateau d'Oex zostało zaliczone do ulubionych i chętnie odwiedzanych w Szwajcarji stacyj sportów zimowych, dysponując doskonałymi torami saneczkarskiemi, ślizgawkami i boiskami dla hockeju i curlingu. W lecie życie tej miejscowości bynajmniej nie słabnie. Inne warunki wymagają też odmiennych atrakcyj i urządzeń. Zjeżdżający i w tym okresie tłumnie zagraniczni goście korzystają z cudownych basenów kąpielowych, kortów tenisowych i terenów do gry w golfa, które równać się mogą swą wyjątkową scenerją z analogicznemi urządzeniami w Gstaad.

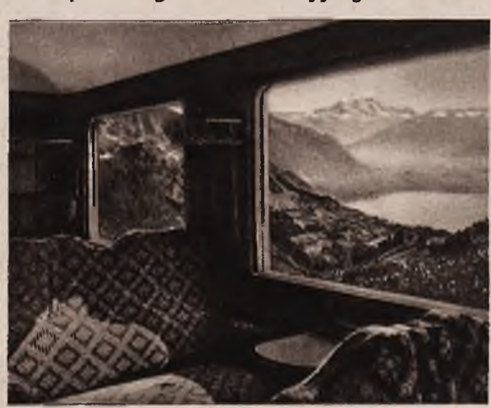
Do Gstaad docieramy po minięciu w Rougemont granicy, na której kończy się Szwajcarja francuska a zaczyna niemiecka.. Z tą chwilą zmienia się i charakter miejscowości, typy ludności i jej zwyczaje. Tylko wspaniałe budynki międzynarodowych hoteli i pensjonatów pozostają niezmienione — niemal identyczne z temi, które jeszcze wczoraj podziwialiśmy w Chateau d'Oex. Gstaad zawdzięcza swą sławę idealnym terenom narciarskim wyjątkowemu klimatowi i urządzeniom, może najbardziej wszechstronnym ze wszystkich sportowych inwestycyj miejscowości, leżących na trasie M. O. B. Nic więc dziwnego, że jest tłumnie odwiedzane zarówno w zimie, jak i w sezonie letnim.

W Zweisimmen kończy się trasa M. O. B. Dopiero po przejechaniu jej możemy uczciwie powiedzieć, że byliśmy w kraju alpejskiej baśni....

Zygmunt Borzęcki (Montreux).

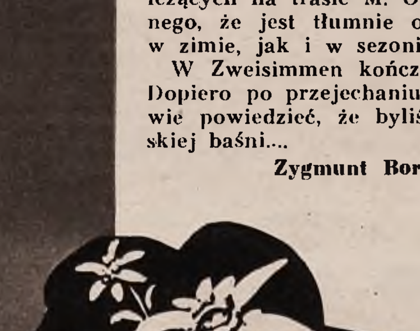


Wnętrze wagonu restauracyjnego M. O. B.



Widok z wagonu M. O. B. na okolice Montreux.





WSZYSTKIE ZDJĘCIA ZYGMUNT BORZĘCKI MONTREUX

JESZCZE WYŻEJ!...



Już wkrótce wystartuje z doliny Chochołowskiej polski stratostat „Gwiazda Polski", którego załoga będzie usiłowała osiągnąć rekordową wysokość 30.000 metrów.

Polski lot stratosferyczny — to 17 wzlot do stratosfery, dokonany na specjalnie do tego celu przystosowanym balonie. Poza tymi lotami dokonano bowiem kilkuset lotów do granic stratosfery na zwykłych balonach otwartych (m. in. kpt. Burzyńki wzniósł się na wysokość 10.800 m) i wypuszczono kilkanaście tysięcy balonów-sond bez załogi, a tylko z przyrządami samopiszącemi.

Pierwszy lot stratosferyczny, a właściwie do granic stratosfery podjęto w celach naukowych w Niemczech, przed 37 laty. W dniu 31 lipca roku 1901 wystartowali z Poczdamu profesorowie Berson i Suring. Do lotu użyto balonu „Preussen" o pojemności 8.400 m sześc. Uczeni niemieccy lecieli w balonie o otwartym koszu, zaopatrzeni w aparaty tlenowe. Osiągnęli oni wysokość 10.800 m. Z powodu wielkiego zimna, panującego na tej wysokości, nie dokonano jednak w czasie lotu żadnych ciekawszych obserwacyj naukowych.

Wysokość 10.800 m osiągnięta przez niemieckich uczonych była przez 26 lat światowym rekordem. W roku 1927 rekord ten postanowili zaatakować Amerykanie, w locie specjalnym, który nie miał za zadanie dokonywanie obserwacyj naukowych. Nowym zdobywcą stratosfery stał się pilot amerykański Grey. Wystartował on z Chicago 4 maja 1927 roku na balonie o pojemności 2265 m sześc. Osiągnąwszy wysokość 12944 metrów, wylądował szczęśliwie po 8 godzinach lotu. — W pół roku później, 4 listopada 1927 roku Grey zapragnął poprawić swój wyczyn i wystartował na tym samym balonie do nowego lotu wysokościowego. Lot zakończył się tragicznie. Naskutek zamarznięcia tlenu w przewodach lotnik udusił się na wysokości 8000 m. Po osiągnięciu wysokości 12944 m (co stwierdzono na barografie) balon z martwym pilotem w koszu osiadł na ziemi.

Trzeci więc lot stratosferyczny zakończył się śmiercią pilota. Nie lepiej powiódł się następny, czwarty z kolei lot wysokościowy.

W dniu 15 września 1928 roku z lotniska Quatro Ventos pod Madrytem wystartował balon „Espana" o pojemności 2200 m. Pilot Mollas usiłował na tym balonie pobić rekord wysokościowy Greya. Lot miał przebieg tragiczny. Naskutek defektu aparatu tlenowego Mollas podobnie jak Grey udusił się, a balon z martwym pilotem osiągnął wysokość 11000 m, poczem opadł na ziemię.

Pierwszego lotu naukowego dokonał dopiero profesor uniwersytetu brukselskiego, August Piccard. On też pierwszy wpadł na pomysł zastosowania w locie zamkniętej gondoli, któraby pozwalała na swobodne dokonywanie obserwacyj naukowych. Według planów Piccarda, opracowanych wespół z fachowcami balonowymi, zbudowano więc gondolę o średnicy 2 m 20 cm i powłokę o pojemności 14.130 m sześc. Start stratostatu Piccarda miał nastąpić w połowie września z Augsburga. 15 września przystąpiono do napełniania balonu. Silny wiatr wyrwał jednak częściowo napełnioną powłokę z rąk obsługi startowej i rzucił o ziemię gondolą. Uległa ona zniszczeniu i termin startu trzeba było odłożyć.

Po zbudowaniu nowej gondoli w dniu 27 maja 1931 roku Piccard wraz z swym asystentem dr. Kipferem wystartował pomyślnie do lotu stratosferycznego i po 30 min. wznoszenia się osiągnął wysokość 15,870 m. Nieopatrznie zastosowana szalona szybkość wznoszenia się sprawiła, iż lot o mało nie zakończył się katastrofą. Aparaty naukowe uległy bowiem zniszczeniu, a rtęć, która wylała się z niektórych przyrządów, zaczęła przeżerać metal gondoli. Nadomiar złego linka od klapy zaplątała się w siatkę powłoki i po osiągnięciu rekordowej wysokości lotnicy nie mogli wrócić na ziemię. Dopiero wieczorem, po 16-tu godzinach lotu, na skutek oziębienia się gazu w balonie, opadł on szczęśliwie bez wypadku na lodowiec w Tyrolu.

Nieudany lot stał się dla prof. Piccarda jedynie dopingiem do nowych przedsięwzięć. Zbudowano nową gondolę o średnicy 2.10 m i wprowadzono zmiany w konstrukcji klapy. W dniu 18 sierpnia 1932 r. prof. Piccard wraz z asystentem dr. Cosynsem wystartował do powtórnego lotu. Tym razem osiągnięto wysokość 16.200 m i po 11-tu godzi-



Start balonu „Toruń" do stratosfery z miejscowości Legjonowo, w maju bieżącego roku z obsadą w osobach (obok) kpt. Z. Burzyńskiego i dr. Jodko-Narkiewicza.

nach lotu, w czasie którego dokonano szeregu cennych badań naukowych, prof. Piccard wylądował we Włoszech. Po opadnięciu na ziemię gondola wleczona przez powłowę, uległa silnym wstrząsom, na skutek czego zostały rozbite niektóre instrumenty naukowe.

Następnego lotu usiłował dokonać w Ameryce por. marynarki Settle. Użył on balonu o pojemności 16.990 m, zbudowanego według wskazówek Piccarda. Start balonu, nazwanego „Wiek postępu", nastąpił 5 sierpnia 1933 r. z terenów wystawy w Chicago. Wobec 50 tys. widzów balon wzniósł się na wysokość 200 m i runął w dół. Powłoka jednak odegrała rolę pewnego rodzaju spadochronu i Settle doznał jedynie szeregu lekkich obrażeń. Przyczyną katastrofy stratostatu były niedokładności w budowie powłoki.

Po nieudanym locie Amerykanina, który miał raczej charakter widowiskowo-sportowy, następnego lotu naukowego dokonali uczeni sowieccy. Na zamówienie głównego obserwatorjum geofizycznego zbudowano w tym celu największy z dotąd użytych stratostatów, o pojemności 24 tys. m³. Na stratostacie tym, nazwanym „Z. S. S. R. 1" wystartowali w dniu 30 września z lotniska moskiewskiego lotnicy Prokofiew, Godunow i Birnbaum. Po dwóch godzinach lotu lotnicy sowieccy osiągnęli rekordową wysokość 19 tys. m i po 10-ciu godzinach spędzonych w powietrzu wylądowali szczęśliwie z obfitym plonem naukowym. Sowiety w tym czasie nie należały jednak do międzynarodowej Federacji lotniczej (F. A. I.), to też rekord ich nie został uznany.

Dla pobicia rekordu Piccarda Amerykanie użyli powtórnie balonu „Wiek Postępu", który został przebudowany. W dniu 21 listopada 1933 r. z lotniska Akron, wystartowali na tym balonie Settle i Fordny. Po raz pierwszy w dziejach podboju stratosfery lotnicy ci zabrali z sobą radjostację nadawczą, przy pomocy której cały czas utrzymywali komunikację z ziemią.

Amerykanie osiągnęli wysokość 18 tys. 665 m, bijąc rekord Piccarda i po 8.5 godz. lotu wylądowali szczęśliwie, nie dokonując jednak żadnych poważniejszych obserwacyj naukowych w czasie lotu.

Tymczasem w zakładach Leningradzkich wybudowano nowego olbrzyma stratosferycznego o pojemności 25 tys. m. sześc. Gondola tego stratostatu miała średnicę 2.40 m. W dniu 30 stycznia 1934 r. balon sowiecki nazwany „Ossoawiachim" wystartował z załogą Fiedosiejenką-Usyskin-Wasienko, do swego lotu. Natychmiast po starcie lotnicy nawiązali łączność radjową z ziemią. Po dwóch godzinach i 38 minutach lotu stratonauci osiągnęli rekordową wysokość 22 tys. metrów i poczęli opadać. Po 5-ciu godzinach lotu otrzymano od lotników depeszę, donoszącą o szalonym mrozie, jaki panuje w kabinie i o obmarzaniu balonu. Godzinę później radjostacja moskiewska otrzymała ostatnią depeszę, nadaną przez Fiedosiejenkę:

— Cały balon pokryty jest lodem. Moi dwaj towarzysze chorzy. Jesteśmy w sytuacji bez wyjścia..

W parę godzin później stratostat „Ossoawiachim" spadł niedaleko miejscowości Kolomna, o 125 km od Moskwy. W strzaskanej gondoli znaleziono trupy 3 lotników.

Tragiczne prawo serji, rządzące lotnictwem dało znów znać o sobie w 5 miesięcy później. W dniu 13 maja z Augsburga wystartował niemiecki balon „Bartsch von Siegsfeld" o pojemności 9.500 m sześc. W otwartej gondoli balonu polecieli dr Schrenck i dr Mozoch. Na wysokości 10 tys. m na skutek defektu aparatów tlenowych obaj uczeni udusili się. Pochwycony silnym prądem wiatru balon, opadł w miejscowości Siewierz w Rosji.

Walka sowiecko-amerykańska o prymat w stratosferze nie została jednak zakończona. Amerykanie zbudowali olbrzymi stratostat „Explorer" o pojemności 84 tys. m. sześc. i w dniu 28 lipca 1934 r. z lotniska Rapid-City, wystartowali nim do stratosfery piloci Kepner i Anderson, oraz obserwator naukowy mjr. Stevens. Z zaopatrzonego w radjostacje stratostatu lotnicy przeprowadzają rozmowę z ziemią, którą transmitują wszystkie radjostacje amerykańskie. Start nastąpił o godz. 6.45. O godz. 15, gdy balon osiągnął wysokość 18.500 m, otrzymano na ziemi pełen grozy meldunek:

— W dolnej powłoce balonu zauważyliśmy otwór. Spadamy z wysokości 18 tys. m. z szybkością 120 m na minutę.

Wydawało się, że już nic nie zdoła ocalić lotników. Na wysokości 6.500 m otworzono włazy. W chwilę później powłoka pękła w połowie długości (w miejscu wszycia pasa, do którego umocowano gondolę) i gondola poczęła opadać z szybkością 240 m na minutę. O godzinie 18.47 z wysokości 4000 m nadeszła ostatnia depesza.

— Postanowiliśmy skakać ze spadochronami.

W chwilę później już na wysokości tylko 900 m wyskoczył Anderson, w chwilę później Stevens. Komendant balonu Kepner wyskoczył z wysokości 150 m. Lotnicy się uratowali, uległa jednak zniszczeniu gondola, oraz aparaty naukowe, wartości 500 tysięcy dol.

Następny lot do stratosfery dokonany przez był. asystenta Piccarda, dra Cosynsa, miał charakter wybitnie naukowy. Do lotu użyto balonu o pojemności 14.130 m. Gondola miała średnicę 2.25 m. Po 4 godzinach lotu stratostat osiągnął wysokość 15.996 m, poczem została zerwana łączność radjowa. W całej Europie zapanowało wielkie zaniepokojenie o losy lotników. Toteż odetchnięto z ulgą, gdy dowiedziano się, że Cosyns wraz ze swym towarzyszem, studentem Vander Elstem wylądował szczęśliwie w Jugosławji. Cosyns przypuszczał, iż będzie lądował w Polsce i zaopatrzył się nawet w polskie wizy.

„Rok stratosferyczny 1934" zamknął wzlot przyrodniego brata Piccarda, dra Jana Piccarda, który w dniu 23 października wystartował z stadjonu w Detroit. Balon „Ascension" o pojemności 16.990 m pilotowała żona Piccarda Marja — pierwsza i jedyna kobieta, jaka znalazła się w stratosferze. Po osiągnięciu wysokości 17.672 m i po 8-miu godzinach 48 minutach lotu. Piccard lądował szczęśliwie w pobliżu miasta Cadiks w Stanie Ohio.

W roku 1935 dokonano tylko jednego lotu, na stratostacie „Z. S. S. R. — 1 bis". Pojemność balonu wynosiła 24 tys. m sześc. Dla zapewnienia bezpieczeństwa gondola zaopatrzona była w specjalny spadochron. W dniu 26 czerwca 1935 z lotniska moskiewskiego wystartowali na tym balonie Zylle, Priuckij, i prof. Werigo. Lotnicy osiągnęli wysokość 16 tys. m. i po dokonaniu szeregu obserwacyj naukowych zaczęli schodzić w dół. — W czasie opadania lotnicy zorjentowali się, że opadają z zbyt wielką szybkością i postanowili ratować się przy pomocy spadochronu. Spadochron, wypróbowany na ziemi, nie działał jednak w powietrzu. Dla uratowania cennych przyrządów naukowych lotnicy skakali ze spadochronami. Priuckij z wysokości 4 tys. m, Verigo z 2 tys. m, Zylle zaś pozostał w balonie do końca przed samym upadkiem, wdrapując się jedynie na siatkę balonu. Dzięki temu uratowano gondolę przed rozbiciem się.

W dniu 11 listopada 1935 r. z lotniska Rapid City odbył się start do ostatniego lotu stratosferycznego. Na balonie „Explorer II" o pojemności 84 tys. m wystartowali mjr. Stevens i Anderson. Osiągnęli oni rekordową wysokość 22.066 m.



Dolina Chochołowska, skąd wzlecí „Gwiazda Polski" do stratosfery.

* * *

Po przejrzeniu tej listy lotów stratosferycznych możemy dopiero zorjentować się, jak trudne zadanie stoi przed naszymi lotnikami. Z pośród 16-tu dokonanych lotów tylko 8 zostało uwieńczonych pełnem powodzeniem. Cztery wzloty zakończyły się śmiercią załogi, w dwóch wypadkach lotnicy uratowali się skokami ze spadochronu i w dwóch wreszcie uniknęli śmierci dzięki szczęśliwemu trafowi. W ten sposób z pośród 26 ludzi, którzy zdobyli stratosferę — 7 poniosło śmierć w powietrzu, a 6 zawdzięcza życie udanemu skokowi ze spadochronu.

Z zapowiadanych rekordowych lotów: Amerykanów Kepnera, Stevensa i Andersona oraz lotników sowieckich: Fiedosiejenka, Usyskina i Wasienki — nie udał się żaden.

Osiągnięcie więc dostępnych człowiekowi granic stratosfery przez polski stratostat, zbudowany z polskich materjałów, będzie świadczyło, iż Polska i w tej dziedzinie ludzkich dążeń naukowych zajęła czołowe stanowisko.

Przemysław Kowalski.

HANNA KŁOSIŃSKA

GWIAZDA ZAGINĘŁA

NOWELA

Kurjer międzynarodowy zatrzymał się na małej stacji. Zawiadowca oczom nie wierzył. Kurjer nie zatrzymywał się tu nigdy. Przelatywał przez stację, jak błękitna błyskawica. Za lustrzanemi szybami ledwie można było dojrzeć zarysy postaci: ministrów, wykwintnych attachés zagranicznych poselstw, bankierów i pięknych kobiet. Ze swojego biura patrzył zawiadowca na ekspress, jak na magiczną latarnię, w której głębi tańczyły zjawiskowe cienie. Dla kogo zatrzymano kurjer? Pociąg stał minutę, zawiadowca nawet nie zdążył zapiąć guzików swego munduru i wybiec na peron.

Jedna tylko osoba wysiadła na stacji i urzędnik nie mógł ukryć rozczarowania. Była to skromna panienka z prowincji w granatowym płaszczu i berecie. Za cały bagaż miała elegancki, ale bardzo skromny neseser. Zawiadowca ruszył pogardliwie ramionami. Nie mieli też dla kogo zatrzymywać kurjera!

Dziewczyna minęła zabudowania kolejowe i weszła w spadzistą i zabłoconą ulicę. Dzień był mglisty. Padał deszcz ze śniegiem. Miasteczko było stare, romantyczne i śniło we mgle swój gotycki sen o dawnej świetności. Nieznajoma znała jednak dobrze zakręty ulic, szła pewnie, aż do rynku na którym mieściła się jedyna w miasteczku cukierenka.

Ponieważ był to wieczór wigilijny — cukiernia była pusta. Dziewczyna weszła i poprosiła o herbatę. Domyślono się jednak odrazu, że nie przyszła tu poto, by pić herbatę.

— Pani na kogoś czeka? — zapytała usługująca dziewczyna.

— Czekam.

Zgóry była przygotowana na to, że czeka napróżno. Sześć lat to kawał czasu. Może umarł, a jeśli żyje, zapomniał. Ich spotkanie przed sześciu laty było w jego życiu tylko nikłym epizodem. Co innego dla niej. Dla niej było przeżyciem, największem wydarzeniem.

Wyjęła papierośnicę z szyldkretu, długi ustnik z kości słoniowej i zapaliła cieniutkiego papierosa z tym gestem wykwintnej niedbałości, który znał świat cały. Zgasiła papierosa i schowała papierośnicę — cacko wysadzane srebrem i topazami, dar czarującego miljonera. Tak, prawdziwego miljonera dla Sylvii Dunne, wielkiej gwiazdy ekranu. Nie było już Sylvii Dunne. W cukierni siedziała Krysia Rawiczówna.

Krysia Rawiczówna, pijąc herbatę, sylabizowała w myśli własne imię i nazwisko, jak tajemniczy szyfr.

— Trzeba się do tego imienia zpowrotem przyzwyczaić — szepnęła do siebie.

Razem z imieniem wróciła pamięć przeszłości.

Przed sześciu laty przyjechała do tego miasteczka z głębi prowincji. Było to po śmierci ojca, skromnego urzędnika, który umierając, nic jej nie pozostawił. Za ostatnie pieniądze wynajęła furmankę i przyjechała tu do krewnych matki. Nie przyjęli jej, odprawili od drzwi. W sam dzień wigilji Bożego Narodzenia, kiedy to podobno ludzie psy przygarniają do domów.

Cały dzień błąkała się po ulicach, aż do zmierzchu, kiedy na śnieg uliczny padły tęczowe cienie oświetlonych choinek. Od kilku dni nie miała w ustach nic ciepłego. Pamięta, że zapatrzyła się w jakieś obce okno, w którem tańczyła srebrna gwiazda ze stanjoli. Patrzyła tak długo, aż doznała zawrotu głowy. Podobno zemdlała. Ratowano ją. A potem ktoś bez twarzy wziął ją na ręce i niósł. Wracając do świadomości usłyszała jednostajny i mocny rytm — bicie ludzkiego serca. Przytuliła głowę jeszcze mocniej do szorstkiego wełnianego swetra, z pod którego płynął właśnie ten uspakajający szmer. Wreszcie odważyła się podnieść powieki. Ujrzała wtedy nad sobą oczy ciemne i chmurne, ale bardzo piękne. Spodobały się jej odrazu. Leżała jak dziecko w ramionach obcego mężczyzny, pogrążona w łasce tych najdziwniejszych źrenic, patrzących na nią prawie wrogo z pod brwi strzelistych.

— Zachciało się pannie choroby, to trzebą było zostać w domu przy mamie, a nie plątać się ludziom pod nogi.

Posadził ją na sąsiedniem krześle, z takim impetem i złością, że się zachwiała. Zauważyła, że są w cukierence i że brutal nie jest jedynym panem nad nią. Obok stał wąsaty jegomość, widocznie właściciel cukierni, młoda dziewucha i piegowaty pikolak.

— Nie trzeba już doktora — warknął nieznajomy — pani się rozmyśliła i odłożyła na czas nieokreślony podróż do aniołów. Narazie wróci do mamy. I jeśli się jest jeszcze takiem kurczęciem, należy siedzieć pod skrzydłami kwoki.

Zaprzeczyła cicho:

— Nie mam matki. Nie mam nikogo.

— Jakto?

— Nie mam. Przecież to takie proste.

— No, proste to nie jest i będzie mnie zapewne kosztowało. Słuchaj, mała, zjadłabyś co?

Naturalnie, że zjadła. pięć kawałków babki, dwa kawałki tortu, wypiła dwie kawy i prawie na niego nie patrzała. Nie miała czasu.

Zapłacił i poszli. Okazało się, że oboje nie mieli dokąd. On całą drogę klął i wzdychał. Ona milczała, drepcząc obok niego po śniegu, w swoich przemoczonych bucikach. Śnieg padał wielkiemi płatami. Z okien mieszkań spływał na ulicę blask, że szli, jak po złotym moście. Melodje kolend „w rymy ubrane najlichsze" kołysały serce dziewczyny, nutą znaną z dzieciństwa. Szli między domami, jak aleją czarodziejskich drzew, omotanych pajęczyną „anielskich włosów". Z piętrowej willi dochodziła muzyka fortepianu.

Towarzysz Krysi zatrzymał się i patrzył w jasne okna.

— Ktoś tam, na górze, wywraca w grobie Chopina.

— To Chopin? — spytała nieśmiało dziewczyna.

— Chopin.

Było to Sherzo H-mol, wezbrane smutkiem i czułością, gdzie między pieśń miłosną, wpleciony, jak gałąź jabłoni motyw kolendy „Lulajże Jezuniu" kołysze się długo na zawiłej fali dźwięków, niby płacz dziecka

Krysia przystanęła pod bramą domu i otwartemi ustami piła melodję. Poprostu piła. Nigdy przedtem nie słyszała Chopina.

— Cóż, mała, pozujesz do posągu dziewczynki z zapałkami i masz zamiar w tej pozycji zamarznąć?

— Przepraszam pana, to pierwszy raz.

— A bajkę o dziewczynce znasz?

— O tak, jeszcze mama...

Pochyliła się całem ciałem, oparła głowę o kamienną furtkę i płakała urywanym, bolesnym płaczem. Jej towarzysz ruszył ramionami z pogardą i nacisnął dzwonek w murze. Może chciał głosem dzwonka przerwać płacz dziewczyny, może się czegoś spodziewał.

Chyba to bydle uczuciowe, które tu mieszka, znajdzie jakiś kąt dla dziewczyniska. Kto w taką noc gra Chopina, musi zrozumieć, że dziewczyna nie może przeziębić się na śmierć.

Po chwili otworzyły się drzwi do sieni. W prostokącie światła stanął wysoki człowiek. Zapytał sucho:

— Kto tam?

— Jestem Korski, inżynier — odpowiedział towarzysz Krysi — może u państwa znajdzie się kąt dla tej oto panny. Wybrała się na podbój Europy w płaszczu podszytym wiatrem i w dziurawych butach. Jest bezdomną. Nie ma nikogo na świecie.

— A pan?

— Ja jestem chwilowo bez pracy. Bezrobotny.

— Tu nie przytułek dla niemowląt.

— Słyszałem, jak pan grał Chopina. Grał pan pięknie.

— Przypuszczam. Jestem sławnym pianistą.

Padło nazwisko tak znakomite, że Korski uśmiechnął się z nową nadzieją.

— Więc ona może przenocować?

— Jeśli jest ładna.

Korski splunął. Wziął Krysię pod rękę i poszli.

— Bydle uczuciowe, ale bydle — zaopinjował.

— Dokąd ja cię zaprowadzę dziewczyno? Nie mam własnego kąta. A gdybym miał dom, jak Boga kocham, wziąłbym cię.

— Czy także dlatego, że jestem ładna?

— Ty ładna? Co ci się zdaje kocie? Z taką mordeczką, z takiemi ślepiami? Co tu mówić o ładności. Ty jesteś, ty jesteś — napróżno szukał odpowiedniego określenia, wreszcie najprozaiczniej skończył — co za dureń ze mnie, że się na takie chuchro dałem nabrać. I co ja teraz z tobą zrobię? Na drodze cię nie zostawię. Mam przy sobie ostatnie 10 złotych, to się podzielimy. Tobie dam 5, może za nie wrócisz, skądeś przyszła, albo przynajmniej przyzwoicie umrzesz z napełnionym żołądkiem. A ja się także gdzieś przemycę. Bo w życiu to tylko przemytnicy coś mają. Jedni przemycają złoto, inni tytoń, inni morfinę, a jeszcze inni szczęście, bo to jest także towar, dziewczyno. I tylko tym się jakoś wiedzie, którzy przekroczyli granicę. Wszystko jedno, jaka to granica zielona, czy złota. Granica dziewczyno i koniec. Rozumiesz kocie? Każdy człowiek ma w życiu swojem granicę, taki zwrotnik szczęścia i przyszłość zależy od tego, czy ją potrafi przejść, czy też padnie na niej trupem, albo powiedzmy dyskretniej — bankrutem.

— Ależ panie, mnie się wydaje, że my już oboje jesteśmy bankrutami.

Spojrzała krytycznie na jego buty, w któ-

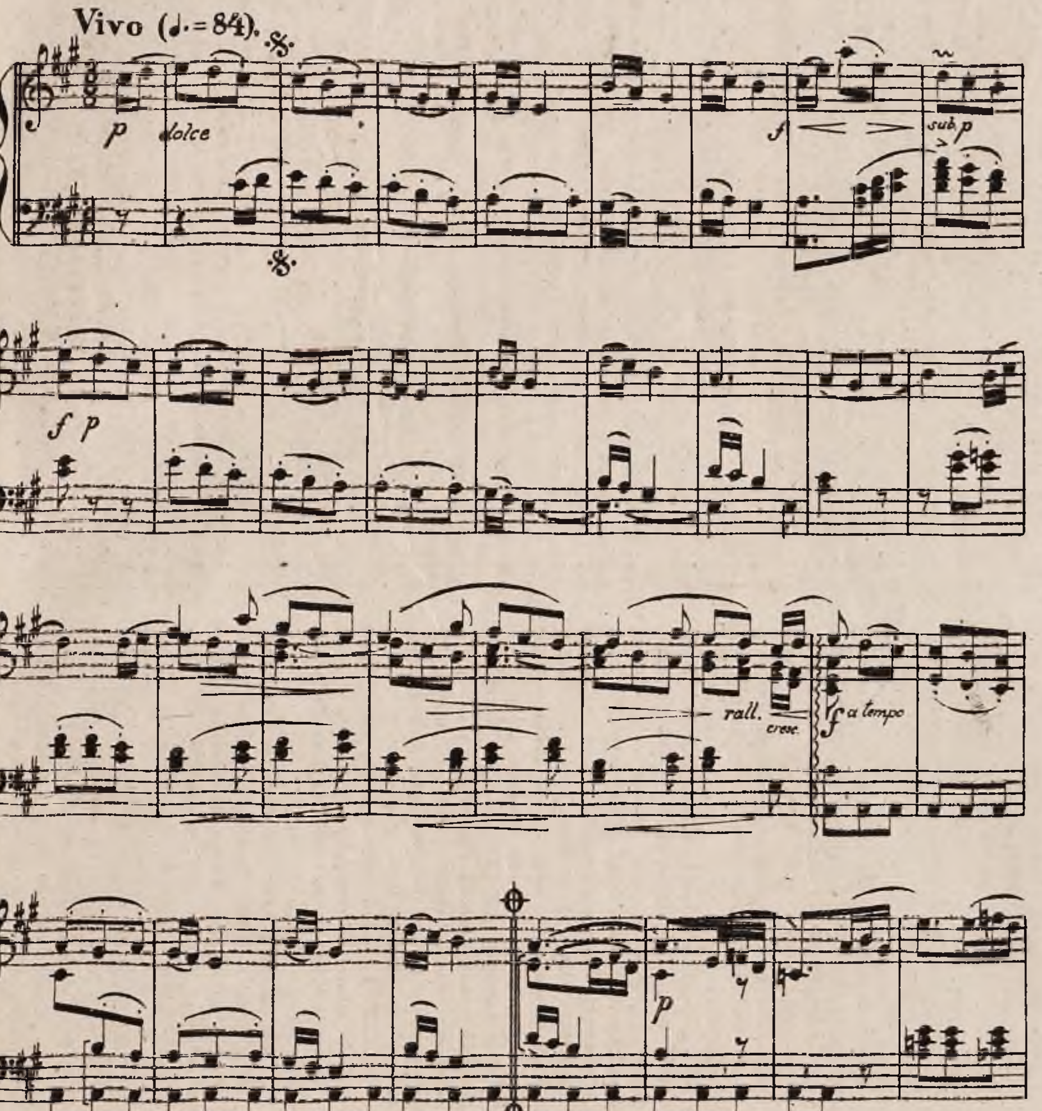
Ciąg dalszy na str. 23-ej.
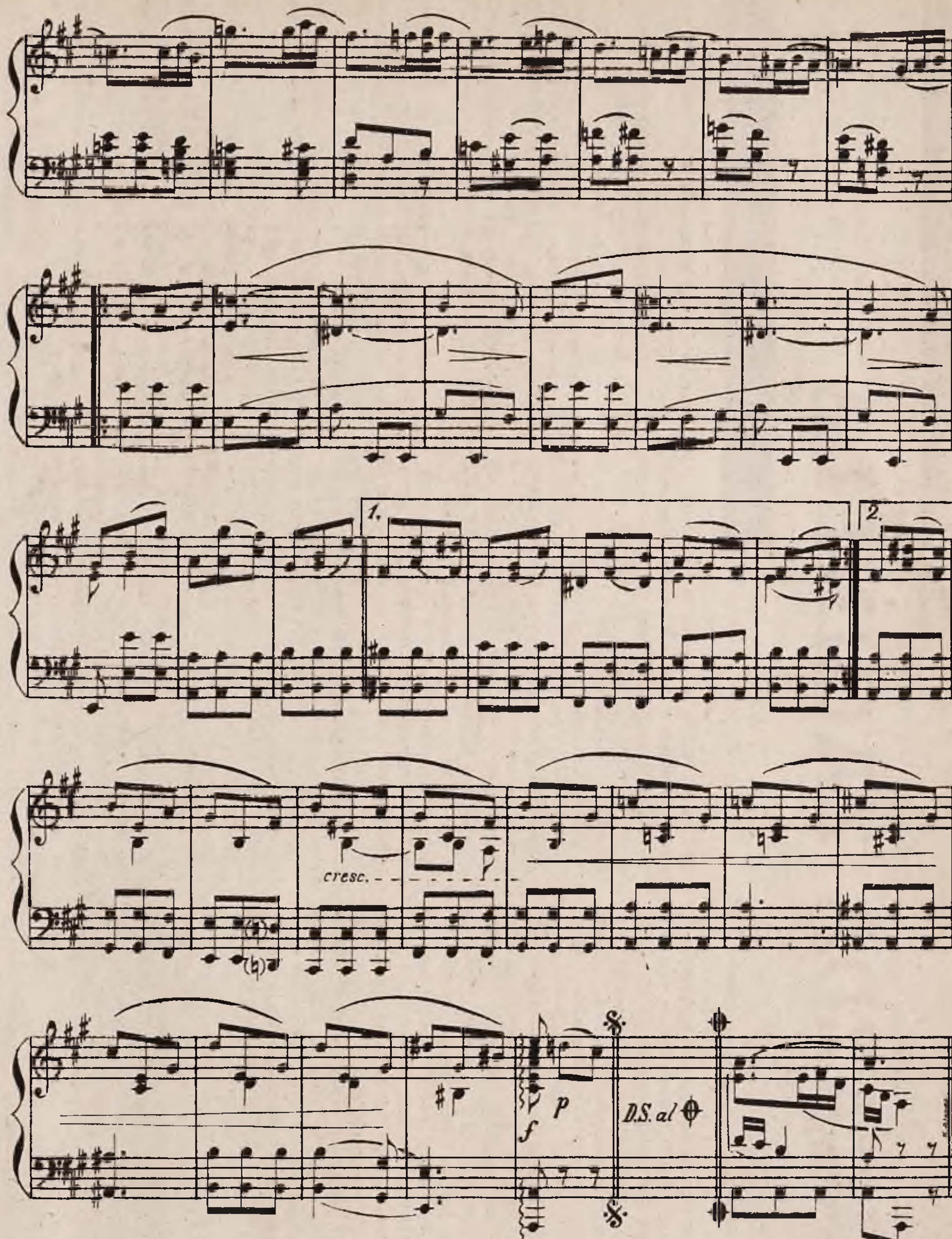
Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA"

Gigue

z wkładki baletowej do komedji Moliera „Pocieszne wykwintnisie".

ALEKSANDER FRĄCZKIEWICZ





Ciąg dalszy ze str. 21-ej.

rych wesoło za każdym krokiem bulgotała woda, a podeszwy należały do wspomnień, potem — na swój bajecznie lekki płaszcz, przemoczony do ostatniej nitki:

— Ach, to ty, po szmatach taksujesz człowieka? Głupia gęś. Człowiek w sercu nosi swoje bogactwo. Rozumiesz? I dokąd serce jego nie zbankrutuje, dotąd jest bogaczem. Tyś jest najbogatszą dziewczyną, boś ty zapewne nikogo jeszcze nie kochała. Nikt nie zubożył twojego serca. Masz wszystko przed sobą: życie, wolność, miłość.

Resztę nocy spędzili w poczekalni kolejowej, czekając na pociągi, które ich miały zawieźć w przeciwne strony.

— Możebyś jednak próbowała zasnąć? Potrzebujesz snu. I czem ja cię uśpię. Nie umiem bajek Ale umiem wiersze. Chcesz?

Słuchała go z głową opartą o jego ramię. Mówił szeptem, bez patosu, ale z ciepłą intonacją głosu, która działała na nią kojąco.

„Taki jest dzisiaj smutny dzień,
za oknem krwawe lecą liście,
wszystko pokrywa szary cień —
Czekam na Twoje w myślach przyjście.

W oknach się siwy wiesza mrok
i w kątach izby się roztrąca —
na utrudzony już mój wzrok
kładą się oczu Twoich słońca.

Poprzez deszczowych echo skarg,
co się przez szyby w izbę wwierca,
słyszę gorący szept Twoich warg
i czuję bicie Twego serca.

W oczy się sypie złoty pył
twych włosów wonnych struga cała,
najlżejszem drgnieniem moich żył
czuję pieszczotę Twego ciała.

Każdy Twój oddech, każdy gest
widzę przez jakąś mgłę daleką,
twarz Twą poznaję, żeś tu jest
w łzach, co po szybie ciągle cieką".

— To piękne — uśmiechnęła się do niego. — Czyje to wiersze?

— Nie pamiętam. Poeci to niepotrzebni ludzie. Liryczni mazgaje.

— A jednak uczył się pan na pamięć tych wierszy.

— Och, to tylko tak, myślałem, że mogą się przy sposobności przydać. Tylko nie nabijaj sobie głowy byle czem. To nie dla ciebie. Za wzniosłe. Pomyśl tylko: oczu Twych słońca, włosów Twych struga wonna. Przecież to jasne, że do ciebie tego stosować nie można. Żebyś choć miała trochę wdzięku. Śpij że już. Zamknij oczy, bo zanadto świecą. Płaczesz znowu, czy co?

Przymknęła oczy i udawała, że śpi. Bał się poruszyć, by jej nie zbudzić. Poczuła na swych włosach gorący oddech, podobny do pocałunku. Ale nie drgnęła nawet.

Nie odważyła się rano serdeczniej z nim pożegnać, ledwie wyjąkała zdawkowe słowa podziękowania. Zatrzasnął za nią drzwiczki wagonu. Stał na peronie w mroźnem słońcu, zachlapany błotem, krępy, kanciaty, prawie brzydki. Z pod brwi nawisłych patrzył na nią wrogo chmurnemi oczami.

— A pan? Co się z panem stanie?

Ze mną nic się nie stanie. Zdechnę, albo wypłynę na wielkie wody. Nie jestem jeszcze zdecydowany. Moja matka umarła na suchoty — uśmiechnął się wykrętnie — to może być dziedziczne. Romantyczna śmierć. Śmierć poetów. A ty lubisz poetów, prawda, mała?

— Czy zobaczymy się jeszcze kiedy? — wychyliła się z okna, wyciągając do niego obie ręce — czy zobaczymy się jeszcze kiedy? O, niechże pan odpowie!

— Nie miałbym z kim umawiać spotkania? Co sobie taki bąk nie wyobraża! Że kupiłem kilka ciastek, to zaraz dalszy ciąg? Za dużo mnie już kosztowałaś. Za dużo. Połowę wszystkiego, co miałem. Zrujnowałaś mnie. W Warszawie mam kolegę, pijak, malarz, złote serce, powiedz mu, że ja ciebie do niego, że musi dla ciebie znaleźć jakąś pracę. Rozumiesz?

Wsunął jej w rękę adres nagryzmolony na świstku papieru.

— Panie Korski.

— Jeszcze czego?

— Nie mogę tak odjechać.

— A to czemu?

— Nie wiem.

— No, zachciało się fantazji. Też sentymentalna pannica. Nie może tak odjechać! Patrzcie ją! A jak? Miałem może dla pani zamówić lux ekspress, albo specjalny samolot? Na tej stacji żaden pospieszny nie staje.

— Może kiedyś stanie dla mnie — uśmiechnęła się dziewczyna. Pan przecież powiedział, że ja mam jeszcze wszystko przed sobą, czy tak?

Udawał, że nie słucha i gwizdał zawzięcie przez zaciśnięte zęby melodję, która miała być oberkiem, a była rodzajem pomylonego foxtrota.

— Panie Korski, pan fałszuje.

— Mało mnie to wzrusza. Sobie śpiewam. Może pani zamknąć okno.

Nie zamknęła jednak. Stała w przeciągu, sina z zimna i uśmiechała się do niego wytrwale.

Rozległy się pierwsze gwizdy i dzwonki:

— Panie Korski, proszę pamiętać, że ja

Dokończenie na str. 24-ej.

Ciąg dalszy ze str. 23-ej.

nie mam nikogo na świecie, prócz pana, że ja nigdy nie zapomnę, że ja wrócę.

— Chyba na mój pogrzeb. Zwarjowała baba. Jedź pani szczęśliwie i więcej mi się na oczy nie pokazuj, dość mam tej całej awantury. Jeśli panią jeszcze raz w życiu zobaczę, zastrzelę się z rozpaczy.

— Obmyślę dla pana lepszą i łaskawszą śmierć.

Pociąg ruszył.

Wcześniej niż myślała przeszła Krystyna swoją granicę. Dzięki pomocy kolegi Korskiego, owego malarza, który okazał się przemiłym wykolejeńcem, dostała posadę kasjerki w eleganckim barze. Tu poznała Lilith, tancerkę. Lilith uważała, że Krystyna urodziła się na tancerkę i nauczyła ją tańczyć. Okazało się, że Krysia miała parę długich, smukłych, fenomenalnie zręcznych nóg, dwoje giętkich elastycznych ramion, pełne wdzięku i finezji ruchy, wspaniałe oczy i melancholijny uśmiech, a ponadto: odrobinę talentu. Tyle, ile właśnie trzeba było na początek karjery. Odtąd przez dwa lata nie rozstawała się z Lilith. Tańczyły razem w balecie, który objeżdżał Europę. W Paryżu jakiś łowca gwiazd wyłowił Krystynę Rawiczównę. Z tą jednak chwilą panna Krysia przestała istnieć. Zapadła się pod ziemię. Zaś na tekturowym firmamencie Hollywoodu zabłysła nowa gwiazda: Sylvia Dunne. Reklama, specjalista makijażu, fryzjer, reżyser i pieniądz stworzyli olśniewające zjawisko. Resztę pozostawiono samej Sylvii, która wywiązała się z roli gwiazdy znakomicie. Oczarowała Amerykę i Europę dziewczęcym charmem i nowym stylem gry. Pozwoliła naśladować tysiącom kobiet swoją fryzurę, a tysiącom reporterów rozgłaszać romantyczne plotki. Jak race bengalskich ogni wybuchały koło jej osóbki, poetyczne skandale.

Cień Sylvii Dunne zaklęty w płótno ekranu przewędrował w romantycznej włóczędze wszystkie stolice świata i wszystkie miasteczka prowincjonalne. Goniły ją po świecie miłosne listy gończe, a czasem dla większego efektu jakiś szalony chłopiec, zakochany w jej cieniu, popełniał samobójstwo.

Nareszcie po kilku latach wyrwała się na urlop. Zmyliła pościg reporterów i wielbicieli. Straciła im się z oczu na niemieckiej granicy, pozostawiając w hotelu swoje walizy, których być może nigdy już nie miała odebrać. Przyjechała tu nieznana, jak przed sześciu laty, by zwrócić Korskiemu owe pięć złotych z procentem, jakiego tylko zażąda.

Wracała do niego taką, jaką odeszła przed sześciu laty. Jednym wspaniałomyślnym gestem odrzucała od siebie olśniewającą przeszłość.

Słowa wiersza, którym usypiał ją w tamtą noc wigilijną, wróciły do niej, ciepłe, jak łzy:

— Wspominam lśnienie twoich ócz
i wołam ciebie po imieniu:
wiem, że znajdę sezamowy klucz,
ukryty w ramion twoich cieniu.

Każdy twój oddech, każdy gest
widzę przez jakąś mgłę daleką,
twarz twą poznaję, żeś tu jest
w łzach, co po szybie ciągle cieką".

Wiersz jednak nie był skutecznem zaklęciem. Godziny mijały. Nikt nie przychodził. Może umarł, może zapomniał? A może tak, jak wtedy błąkał się gdzieś głodny i obdarty po ulicach nieznanego miasta.

Krysia wyszła na ulicę. Na zegarze wieżowym biła dziesiąta. Poszła przed siebie tą samą drogą, którą szli oboje przed laty.

Z oświetlonych okien padały bajeczne tęcze, kolorowe błyszczące smugi od czarodziejskich choinek. Szła po tej płynnej tęczy, brodząc po kostki w śniegu i świetle. Tęsknota zaprowadziła ją do domu pianisty. Okna były ciemne. Tego wieczora nikt nie grał Chopina. Czytałam w gazetach, przypominała sobie z trudem Krysia, czytałam, że ten człowiek zastrzelił się z miłości do aktorki. Do Sylvii Dunne. Ogólnie go żałowano. Był sławny, utalentowany, a przytem należał do najbardziej czarujących ludzi epoki: prasa nawet ogłosiła zaręczyny Sylvii Dunne z owym pianistą. Tak zaręczyny, które potem Sylvia okrutnie zerwała. Odebrał sobie życie. A wszystko dlatego, wszystko przez to, że kiedyś Sylvia Dunne stała na progu jego domu zziębnięta i bezdomna.

Krystyna patrzyła w ciemne okna, zaciskając kurczowo ręce na sztachetach. Oparła czoło o kamienną bramę i płakała z głębi serca, ale nie glicerynowemi łzami gwiazdy filmowej, tylko łzami zziębniętej zmęczonej i głodnej Krysi Rawiczówny.

— Cóż to mała upozowałaś się na posąg dziewczynki z zapałkami i masz zamiar w tej pozycji zamarznąć?

— Przepraszam pana, to pierwszy raz.

W mroku nie mogła rozeznać jego twarzy, ale poznała uścisk obejmujących ją ramion.

— Wróciłaś na moje utrapienie? Nie masz nic ważniejszego do roboty na świecie, tylko się włóczyć po nocach? I czego wyjesz do księżyca? Chyba nie z żalu za wirtuozem? To bydle sentymentalne, co tak jęczało Chopinem, już nie żyje. Może czytałaś w gazetach? Ale ty jesteś za głupia na czytanie gazet. Zabił się. Podobno kochał się w jakiejś aktorce. Jakże się ona nazywała? Ach — machnął lekceważąco ręką — mniejsza o to. Bardzo sławna. Wamp ekranowy, półkobiety pół dziwoląga. Zmanierowana baba i tyle. Kogoś mi djablo przypominała i włóczyłem się na jej filmy. Ale nie wiem kogo.

— Byłam w cukierni. Czekałam tam na ciebie. Pan także czekał na mnie?

— Ja? Na Twój pyrciaty nosek i brzydkie oczy? Miałbym też na co czekać? Powiedz mi, gdzieś ty siedziała przez te lata?

— Nie mogłam przyjechać. Nie miałam urlopu.

— A co robisz?

— Pracuję w magazynie sukien i koło Bożego Narodzenia jest tam największy sezon, ruch, zamówienia. Pisałam do pana, tutaj, pan listów nie otrzymał?

— Nie. Tu mnie nikt nie zna. Mieszkam dziesięć mil stąd. Głucha wieś. Dziura. Na leśniczówce. Same drzewa, niema do kogo ust otworzyć, jak rok długi. Nie możemy nocować na ulicy, jeśli zechcesz zabiorę cię na święta. Mam swój dom i nie muszę już prosić o nocleg dla ciebie, takich, takich...

Popatrzył z goryczą w ciemne okna willi.

— Bydląt uczuciowych — skończyła z uśmiechem.

— Właśnie.

O świcie dojechali do leśniczówki. Dom był miły, starannie urządzony, zamieszkany, otoczony prześlicznym lasem świerkowym. Staruszka gospodyni zajęła się gościem, a psy wspaniałe wilki przywlokły się do dziewczyny, skamląc o pieszczotę.

— Podoba ci się u mnie?

Stał naprzeciw niej krępy, niewysoki, w szarym garniturze, brzydszy jeszcze w dzień niż w mroku i patrzył na dziewczynę temi swojemi, zapadającemi aż na dno duszy oczami.

— Jakie ty masz śliczne oczy.

— No, doprawdy jesteś niewymagająca.

— Rzeczywiście — skinęła głową z zalotnym uśmiechem.

— A wiesz, że kiedy tak na ciebie patrzę, wydajesz mi się ładna. Dużo ci brakuje do piękności, ale zmieniłaś się na korzyść przez te lata. Wyrosłaś. Masz inny uśmiech. Inny sposób bycia.

— Doprawdy, jesteś niewymagający.

— No, myślę. Innyby ciebie nawet nie zauważył.

— Masz rację, to też wielkie to jest moje szczęście, żeś mnie zauważyć raczył.

Kręcił się niezgrabnie, udając, że głaszcze psa.

— Chodź, pokażę ci choinkę.

Otworzył drzwi do drugiego pokoju. W ramie stał olbrzymi świerk w blasku świec i złotych łańcuchów. Dziewczyna stanęła w świetle. Popatrzył na nią z czułością.

— Sam go urąbałem, sam przyniosłem z lasu, sam ubierałem. I tak, co roku. To już szósty. Każdy z myślą o tobie, że kiedyś przyjdziesz, że może... zechcesz pozostać.

Krysia podeszła do choinki. Objęła drzewo ramionami, jak kogoś żywego.

— Uważaj! Zajmą ci się włosy. Nie chcę mieć żywej pochodni. Mówię ci, uważaj.

— Zawróciło mi się w głowie, panie Korski, a ja muszę mieć zawsze jakieś oparcie, choćby takie.

— No, jeżeli rzeczywiście nie możesz utrzymać się na nogach, to proszę, oprzyj się na mojem ramieniu. Zapewniam cię, że świerk nic sobie nie robi z twojego rozrzewniającego gestu. On nic nie czuje.

Oparła głowę na jego piersi, by przez szorstką wełnę marynarki posłyszeć znów znajomy rytm serca.

— No, cicho, cicho. Nie płacz dziewczyno. Dziś przechodzimy naszą granicę i musimy zebrać wszystkie siły, by przemycić szczęście. Za ten przemyt ludzie nałożyli ciężkie kary. Ale nam Krysiu musi się udać. Musi. I wtedy niczego nam już nigdy nie zabraknie, choćbyśmy znowu, jak wtedy mieli tylko drogę przed sobą i byli bardziej bezdomni od zbłąkanych psów. Czy ty mi wierzysz, Krysiu?

Cały dzień Korski oprowadzał Krysię po „swoim" lesie z dumną miną władcy, żądny pochwał i zachwytów. Wieczór spędzili przy radjo. Kobieta, która przeżyła noce z bajki, tańcząc w ramionach najwykwintniejszych dandysów epoki, otoczona tłumem dyplomatów, miljarderów i gwiazdorów, słuchała teraz z rozrzewnieniem lekkiej muzyki z warszawskiej kawiarni.

Nagle przerwano audycję. Speaker wzruszonym głosem powiadamiał słuchaczy, że w tajemniczy sposób przepadła bez wieści słynna tancerka i gwiazda filmowa Sylvia Dunne. Zmobilizowano policję całego świata. Fotosy gwiazdy rozesłano do wszystkich zakątków globu. Sylvia Dunne wyjechała do Europy celem spędzenia urlopu. W Niemczech ślad jej zaginął.

Korski, który z początku słuchał bez zainteresowania, zaniepokoił się w miarę słów speakera.

— Sylvia Dunne — powtórzył niskim, stłumionym głosem — Sylvia Dunne. To ona. Ta aktorka o której ci mówiłem, przez którą zabił się pianista. To dziwne, bardzo dziwne. Widziałem jej filmy, była bardzo do ciebie podobna. I gdyby nie to, że speaker powiedział wyraźnie: piękna, myślałbym Krysiu, że...

Tymczasem z głośnika spłynęła miękka fala muzyki. Tym razem było to tango.

— Zatańczymy? — zapytał niepewnie.

— Nie. Ja nie umiem tańczyć. Nigdy w życiu nie tańczyłam.

— Boże na wysokościach! To twój najlepszy uczynek dziewczyno, jaki popełniłaś w życiu.

— Co?

— Że nie umiesz nogą ruszyć. Krycha przecież od tego zależy moje życie. Od takich głupich kilku figur tanga.

Sylvia Dunne do tego stopnia wżyła się w rolę Krysi Rawiczówny, że dwie godziny stracił inżynier Korski, by swoją przyszłą żonę nauczyć trzech podstawowych figur tanga.



FLIRT ZE SŁOŃCEM Artystka filmowa Sigrid Gurie.

Nożykiem, owiniętym watą, usuwamy skórkę, narastającą na paznokcie.



XVII.

MAGJA pięknych rąk



Powiadają jedni, że spojrzenie pięknych oczu jest najbardziej fascynującym przejawem uroku kobiety. Inni oddają pierwszeństwo ustom, pięknej nóżce, wysmukłej kibici, a jeszcze inni pozostają wierni twierdzeniu, że właśnie ręce i tylko ręce oddają w pełni urok kobiecości. Istotnie, ręce emanują bardzo wiele z osobowości człowieka. Delikatne dotknięcie rąk kobiecych może być i współczujące i wyrozumiałe, subtelne i tkliwe, pełne sympatji i zrozumienia... Jednem słowem zdawkowe podawanie ręki wystarczy dla scharakteryzowania typu kobiety z samego uścisku dłoni. Ręka, która ma ucieleśniać ideał piękności rączki kobiecej, musi być drobna, proporcjonalnie zbudowana, wydłużona tak dłoń jak i palce, z wąskimi paznokciami, a nadewszystko powinna być dobrze... wypielęgnowana.

Ta pielęgnacja rąk — to dziś poważne zagadnienie, gdy wszystkie niemal kobiety pracują zawodowo, a i te nieliczne, którym los zdjął z ramion ciężar obowiązków takiej czy innej kategorji, uprawiają przecież sporty, które mogłyby odbić się ujemnie na delikatności rąk. Kobiety lubią też spędzać czas na pracach ogrodniczych, jakże zdrowych i kultywujących urodę, jeżeli się je traktuje z należytym umiarem.

Aby więc nawet tenis czy wiosłowanie, prowadzenie kierownicy samochodu, czy pielenie ogródka, nie naraziło na szwank delikatnych dłoni, posługujemy się zasobnym arsenałem środków kosmetycznych, pozwalających utrzymać piękne rączki zawsze w idealnym stanie, tak, że każdego wieczoru mogą je przyozdobić najcenniejsze nawet pierścienie i bransolety, przydając blasku ich wypielęgnowanej urodzie.

Pracująca kobieta nie wyrzeka się bynajmniej kultu pięknych rąk. Owszem, nie powinna się go nigdy wyrzekać, jako jednego z atutów niezmiernie ważnych w życiu zawodowem, gdzie, jak wiadomo, cechy urody i starannej o siebie dbałości, decydują nieraz narówni z przygotowaniem fachowem.

Łącznie z tem nastawieniem do ideału piękności rączki kobiecej, przekazanego nam przez wieki, dołączyła nasza epoka nowe wartości. Współczesna dłoń kobieca posiada urok siły i młodzieńczości. I o ten ideał ubiegać się winny wszystkie bez wyjątku kobiety w miarę takich czy innych swoich możliwości.



Zmywanie namydlonych rąk przy pomocy ryżowej szczoteczki.

Poniżej: Cytryna przy częstem używaniu wybiela ręce.



Pierwszym warunkiem na tej drodze jest utrzymywanie rąk w idealnej czystości. Na te słowa piękne panie skrzywią swe buzie, mówiąc pogardliwie: Ach! my to wiemy! Przyznamy im rację bez wahania, ale poprosimy o przywdzianie czapeczki—niewidki i przypatrzenie się ukradkiem rączkom kobiecym w zaciszu domowem, po biurach, szkołach, magazynach itd. Czy mimo tak rozpowszechnionego kultu pięknych rąk, znajdziemy je wszystkie o każdej porze dnia wypielęgnowane, jak czyste? Obserwacja baczna życia mowi, że nie.

Doskonałym środkiem utrzymania rąk w idealnej czystości jest szczotkowanie ich przy pomocy mydła i ciepłej wody oraz przepłukiwanie w wodzie zimnej. Natarcie skóry sokiem cytrynowym wybiela ją i wydelikaca. Można też zawsze dodać kilka kropel cytryny do mydła, którem namydlimy dłonie. To też cytryna powinna znajdować się zawsze na umywalni. Jej tam obecność jest już poniekąd gwarancją, iż właścicielka nie zaniedbuje koniecznej pielęgnacji swych rączek.

Plamy, które nie dadzą się usunąć przy pomocy cytryny, znikną przy użyciu pumeksu, kamyczka czarodziejskiego, który oddaje nieocenione usługi w kosmetyce. I on powinien mieć stałe swe miejsce na umywalni, jak i przy wannie, bo jest tak nieodzowny, jak woda i mydło. Wytworna kobieta nie używa nigdy mydła silnie perfumowanego i wybierając odpowiednie dla swej suchszej czy wilgotniejszej skóry mydełko tualetowe, dba przedewszystkiem o jego jakość materjalną, a nie bardziej intensywny zapach, oddając pierwszeństwo mydłom jak najbardziej neutralnym.

Po umyciu rąk i wysuszeniu należy je lekko natrzeć jakimś delikatnym kremem, lub poprostu gliceryną, zmieszaną po połowie z wodą różaną. Sama gliceryna może spowodować żółknienie skóry. Pozostawiamy ręce przez kilka minut pod działaniem mieszaniny, a następnie osuszamy je powtórnie. Już tak prymitywnemi sposobami osiągnąć można znakomite rezultaty. Co tygodniowy manicure doda wypielęgnowanej rączce pożądanego blasku.

Elwira.

JÓZEF SCHENK W POLSCE



Jeden z najpoważniejszych filmowców amerykańskich, Józef Schenk, wiceprezes „Fox-Filmu", bawił w Polsce, interesując się żywo naszą produkcją filmową. Był on obecny przy nakręcaniu w Warszawie niektórych scen nowego filmu Mniszkówny „Gehenna". Na zdjęciu: Józef Schenk (w środku) w otoczeniu Mieczysławy Ćwiklińskiej, Iny Benity, reżysera M. Waszyńskiego, operatora inż. Wywerki, Antoniego Fertnera, Witolda Zacharewicza, Leopolda Brodzińskiego i in.

Stephot — Warszawa.

ZE SCENY KATOWICKIEJ



Teatr im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach wystawił na inaugurację sezonu „Wilki w nocy" Tadeusza Rittnera. Ciekawa i bardzo starannie opracowana inscenizacja reżysera sztuki Wiktora Biegańskiego, równocześnie odtwórcy roli prokuratora, oraz wysoki poziom gry całego zespołu przyczyniły się walnie do sukcesu tej premjery. Na osobną wzmiankę zasługują dekoracje J. Jarnutowskiego. Na zdjęciu (od prawej): S. Kostecka, W. Biegański i W. Stanisławska.

Fot. C. Datka — Katowice.

ODZNACZENIE L. SOLSKIEGO



Do wieńca sławy znakomitego artysty, nestora naszej sceny, Ludwika Solskiego, przybył nowy laur w postaci nagrody, przyznanej mu przez jury międzynarodowej wystawy filmowej w Wenecji (zwanej „Biennale") za kreację aktorską w filmie polskiej produkcji pt. „Genjusz sceny". Film ten przedstawia najwybitniejsze kreacje aktorskie Solskiego. Polski świat artystyczmy przyjął z radością to uznanie ze strony zagranicy dla sztuki naszego aktora. — Na zdjęciu: Jedna ze znakomitych kreacyj filmowych Solskiego: Gospodarz z „Wesela" Wyspiańskiego.

KREACJA FILMOWA PROKOPIENIEGO



Na wystawę w Biennale we Włoszech został nakręcony krótkometrażowy film z udziałem znanego śpiewaka Pawła Prokopieniego, który w nim odtwarza postać Mefista.

GWIAZDA KOMEDJI MUZYCZNEJ

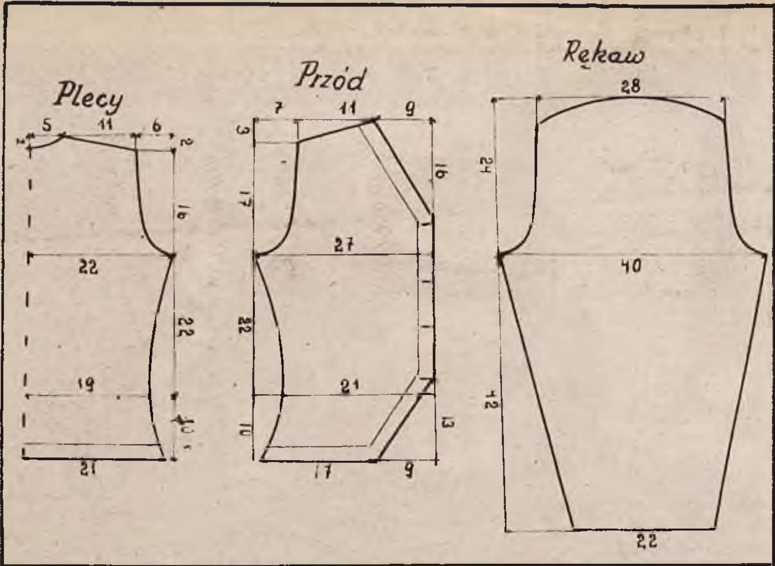


Teatr Malickiej w Warszawie, który gra obecnie komedję muzyczną p. t.: „Na fali eteru", zyskał w osobie Luni Nestor doskonałą odtwórczynię ról wokalnych.

NOWY DYR. KRAK. KONSERWATORJUM



Na stanowisko dyrektora krakowskiego Konserwatorjum Muzycznego został ostatnio powołany znakomity dyrygent i kompozytor Bolesław Wallek-Walewski.



Kamizelka

wykonana na drutach

★

Na lewo: Schemat kroju kamizelki, wedle którego należy wykonać szablony na żądaną wielkość.

Poniżej: Kamizelka wełniana, zrobiona na drutach wedle załączonego obok opisu.

Przed wykonaniem tej kamizelki, dobrze będzie wypróbować ścieg z danej grubości wełny, aby móc obliczyć ilość oczek, potrzebnych do żądanego wymiaru. Ścieg jest łatwy i następuje tak: Pierwszy rząd: 1 oczko gładkie, 1 oczko na wywrót. Drugi rząd: gładkie na gładkie, odwrócone na odwrócone. Trzeci rząd: jak pierwszy, ale na gładkiem robimy oczko odwrócone, a na odwróconem gładkie. Czwarty rząd wykonujemy jak drugi i w ten sposób przerabia się dalej, powtarzając wzór od pierwszego rzędu.

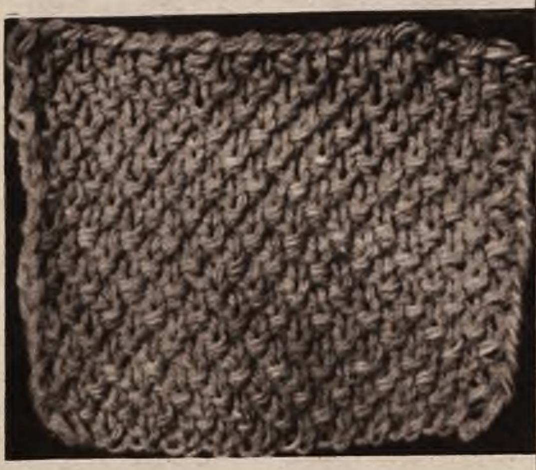
Według podanego wzoru należy wykonać krój na swą miarę i według niego odrabia się dokładnie wszystkie części kamizelki.

Przy średniej grubości wełnie i na średnią miarę figury, liczy się na każdy przód po 65 oczek, na plecy 110 oczek i 60 oczek na każdy rękaw.

Na kieszenie pozostawia się otwory na 10 cm długie, uzupełniając spód po skończeniu przodu przez dorobienie tym samym ściegiem tyle rzędów, aby kieszonki były 12 cm długie. Przyszywa się je tą samą wełną krytym ściegiem.

Przy wszywaniu rękawów trzeba je górą troszkę nadmarszczyć, co daje im modną formę.

Kamizelka wykończona jest sznureczkiem, haczkowanym w postaci łańcuszka z ciemniejszej wełny. Zaciąga się go naokoło kamizelki, jak wskazuje fotografja, uważając, aby nie ściągnąć nim brzegów.



Wzór ściegu, jakim wykonujemy kamizelkę.





SKÓRA



Zamszowa kamizelka bez rękawów, noszona do flanelowej koszulki polo, (zwraca uwagę jaśniejszy przód o oryginalnej formie wykroju i pasek w tym samym kolorze).



A oto jeden z licznych fasonów skórzanych płaszczy, używanych do podróży samochodem, samolotem lub koleją.



Coraz częściej noszone są do kombinacyj sportowych kurtki skórzane bez kołnierza, który zastępuje wzorzysty szal jedwabny (na zdjęciu kurtka z ciemno-brązowego zamszu).

Zdjęcia Mundi — Amsterdam.

„Daj mi spokój, bo wyskoczę ze skóry!" — oto najpopularniejsza reakcja zniecierpliwionej pani na wymówki i ataki ze strony uszczypliwego otoczenia. Naturalnie groźba „wyskoczenia ze skóry" wyraża już szczyt niemożliwości, jakąś fantastyczną ostateczność. I fantazja wkroczyła na tory rzeczywistości. Można wyskoczyć teraz ze skóry bez zniecierpliwienia, naturalnie ze skóry cudzej, pięknie wygarbowanej, skrojonej i uszytej. Bo oto skóra zajmuje równorzędne stanowisko w przemyśle odzieżowym, jak wełna, futro (także skóra, ale owłosiona!), bawełna itp.

Przez dłuższy czas noszono ze skóry tylko obuwie i rękawiczki, względnie paski i różne ozdoby. Pierwsze jaskółki zużytkowania skóry na inne części tualety pojawiły się niedawno. Dzisiaj skórzane płaszcze, żakiety, spódniczki, szaliki i kapelusze ukazują się coraz częściej w modzie, konkurując z temi, które zestawiane są z materjałów tkanych. Ba, ostatnio spotykamy coraz częściej skórzane kamizelki, kombinowane z wełną, lub trykotem, skórzane bluzeczki i pelerynki. Skóra odpowiednio zmiękczona, z nadanym jej aksamitnym lub gładko lśniącym połyskiem, twarzowo ubarwiona, ma tę wyższość nad innemi materjałami, że jest nieprzemakalna, trwała i harmonizuje bardzo elegancko z pewnemi rodzajami kroju. Weźmy np. pod uwagę krótki, sportowy żakiecik z paskiem, z nakładanemi kieszeniami, z guzikami w tonie, wykonany z wełny — i ten sam fason, identycznie wykonany, ale ze skóry. Każda elegancka pani przyzna, że sportowy żakiet ze skóry będzie znacznie szykowniejszy, będzie ładniej akcentował figurę i uwydatniał dobry krój, aniżeli żakiet z wełny.



Kombinacja irchy z włóczką znajduje częste zastosowanie w modelach kamizelek sportowych, zaopatrzonych w t. zw. błyskawiczny zamek.

Spopularyzowanie sportów stało się jednym z głównych bodźców do coraz szerszego zastosowania rozmaitego rodzaju skór w damskim przemyśle odzieżowym. Niepodobna wyobrazić sobie dzisiaj pani, zdążającej na golfa, obywającej się bez skórzanej bluzki kasakowej. Sport automobilowy, zachęcający do dalszych wycieczek także podczas chłodnej pory jesiennej, zmusza do zaopatrzenia się w twarzowy płaszcz skórzany, łączący zalety odzieży impregnowanej ze względu na nieprzemakalność, z zaletami okrycia wełnianego, bo jest ciepły i miękki. Nawet rybołóstwo jako sport nadwodny pociąga za sobą konieczność ubierania się bodaj w skórzane kamizelki, aby chłód wieczoru i wilgoć w powietrzu, nad wodami nie szkodziły organizmowi. A już w porze zimowej, gdy święci triumfy sport narciarski, skóra znajduje w garderobie damskiej szerokie zastosowanie.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć i o drobnych skórzanych rekwizytach mody. Wraz z sezonem balów przyniesie moda niewątpliwie nowe kreacje długich skórkowych rękawiczek. Szerokie, lśniące, barwne paski ze skóry noszone są nie tylko do sukien sportowych, do żakietów i kasaków, ale także — do lekkich sukien wzorzystych. Paspoale, guziki, kołnierzyki i kwiaty skórzane nie przestają cieszyć się powodzeniem.

A więc, jak widzimy, istnieje dosyć okazyj, aby „wskoczyć do skóry" i wyskoczyć z niej, chociażby nerwom i cierpliwości eleganckiej pani nikt i nic nie dało się we znaki!

Mab.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka obliczone na 3–4 osoby.

ZUPA WĄTRÓBKOWA (z przepisów dietetycznych). Dla zwalczania anemji zalecają lekarze wątrobę w każdej postaci: czy to pieczoną, duszoną lub smażoną, zawsze będzie jednako skuteczna. Z pomiędzy różnych odnośnych przepisów podajemy przepis na zupę, na którą użyta być może wątroba cielęca lub wołowa. 15 dkg wątroby zeskrobuje się ostrym nożem z żył, które się wygotowuje z jarzynami i kruchą kością. Zeskrobaną wątróbkę miesza się z jajem, troszką soli, łyżeczką roztopionego masła oraz łyżką tartej bułki. Na gotujący się rosół (odcedzony poprzednio z kości i jarzyn) przeciska się farsz przez łyżkę durszlakową lub tarło, przez co tworzy się rodzaj makaronu, który należy gotować w rosole przez kilka minut. Dla większej pożywności można zupę podprawić żółtkiem.

BAKŁAŻANY. Ukazujące się ostatnio w dużej ilości bakłażany, poczynają się przyjmować na naszych stołach, wprowadzając trochę odmiany w jednostajnych potrawach jarzynowych. Spotykamy się często z skargami na gorycz niektórych bakłażanów; łączyć to musimy z brakiem doświadczenia w używaniu tej jarzyny. Gorzkie są tylko bakłażany, leżące długo po zerwaniu, tj. nieświeże. Dla orjentacji podajemy, że bakłażan świeży ma kolor ciemnofioletowy, skórkę połyskliwą, w dotknięciu gładką. Stary, odleżały egzemplarz ma kolor jaśniejszy, a skórkę matową, bez połysku. Co do sposobu przyrządzania, to jest tych sposobów dużo. Można go dusić w oliwie, co nie odpowiada naszemu smakowi. Dobry jest krajany w płatki, które się macza w lanem cieście i smaży na rumiano. Najwięcej przyjął sie u nas **bakłażan faszerowany.** Najsamprzód należy bakłażany pozbawić skórki. W tym celu należy je opiec w gorącym piecyku lub opalić nad płomieniem, łupkę oskrobać i wydrążyć środki. Farsz do nadziewania przygotowuje się z kawałka wieprzowiny, którą należy zemleć, zmieszać z jajem, łyżką tartej bułki oraz troszką smażonej, drobno usiekanej cebulki. Napełnione bakłażany układa się w rynce na maśle, posypuje z wierzchu tartą bułeczką, kropi masłem i wstawia do piecyka na 30–40 minut. Na dopieczeniu można bakłażany polać śmietaną lub gęstym sosem pomidorowym, co jarzynie tej trochę mdłej, dodaje wybitniejszego smaku.

Chcąc bakłażany przygotować **„na jarsko"**, napełniać je można ryżem, zmieszanym z zielonym groszkiem, całem jajem i łyżką tartej bułki. Dalsze postępowanie, jak wyżej.

GRUSZKI DUSZONE Z WŁOSKĄ KAPUSTĄ. Jako dodatek do pieczystego okazała się bardzo smaczna jarzyna w tem oryginalnem zestawieniu: Twarde, soczyste gruszki, tzw. cukrówki, ołupane, przekrojone i wydrążone z pestek, gotuje się w małej ilości wody, raczej dusi na parze z dodatkiem łyżki masła. Osobno gotuje się w słonej wodzie małą główkę włoskiej kapusty; miękką wyciska się z wody, dodaje do gruszek, które się w międzyczasie już trochę w maśle zrumieniły. Wkońcu oprósza się jarzynę mąką, zagotowuje i podprawia sos karmelem, tj. cukrem zrumienionym i zagotowanym z troszką wody, oraz szczyptą soli.

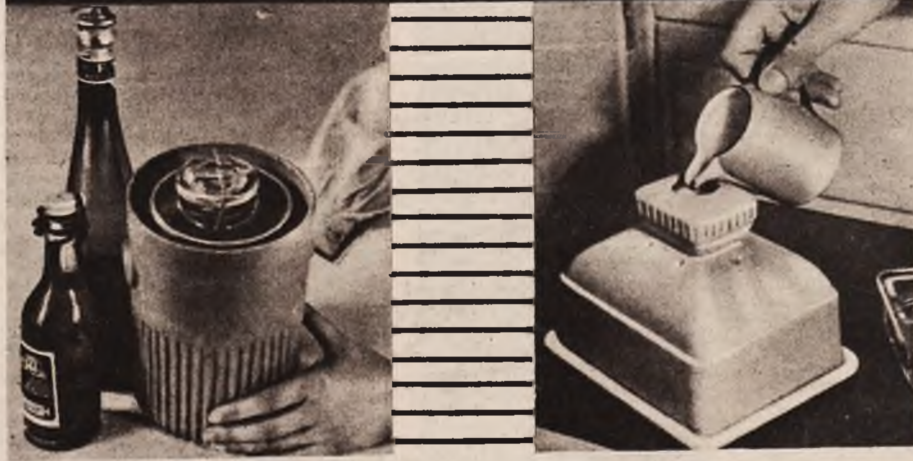
KUROPATWY, JARZĄBKI, KWICZOŁY i t. p. dzikie ptaszki, które obecnie strzelane są w dużych ilościach, tracą dużo na smaku z powodu nieumiejętnego obchodzenia się z niemi w kuchni. Nie należy je długo przetrzymywać, lecz używać na świeżo. Oczyszczone z pierza i wypatroszone powinny być **szybko** wymyte, a nie moczone w wodzie. Wyjęte z wody i obsuszone ściereczką osypuje się je skąpo solą, szpikuje gęsto paskami słoninki, lub też owija w cienkie płatki słoninki, owiązuje nitką i piecze na rożlub dusi pod pokrywą, w obydwu wypadkach jednak nie dłużej nad 30–40 minut, aby się zbytnio nie wysuszyły. Podać je można w sosie naturalnym, lub też podprawić sos śmietaną, roztrzepaną z łyżeczką mąki. Ptaszki, po przekrawane na połówki przekłada się na półmisku grzankami z chleba lub bułki. Sos podaje się osobno w sosjerce. Jako dodatek tarte ziemniaczki lub makaron.

KONSERWA ZE ŚLIWEK DO LEGUMIN. Z wytartych do sucha śliwek wyjmuje się pestki. Śliwki układa się ciasno w słoikach, przesypując je cukrem. Na 3/4 litrowy słoik daje się nie więcej ponad 3 łyżki cukru. Wypełniony owocem słoik (**nie** pod sam wierzch, powinno zostać na 2 cm wolnego miejsca) zamyka się pokrywką lub owiązuje pergaminowym papierem i gotuje na parze sposobem Wecka przez 30 minut, licząc od chwili zagotowania się wody.

KNEDELKI ŚLIWKOWE Z CIASTA BUŁKOWEGO. 3 małe bułeczki, otarte z wierzchniej skórki, zalewa się mlekiem. Rozmoczone wyciska się, dodaje 1 całe jaje i 1 żółtko, szczyptę soli, łyżkę masła i tyle mąki, aby się utworzyło niezbyt tęgie ciasto. Z wytartych do sucha śliwek wyjmuje się pestki, na miejsce których wkłada się do śliwek mały kawałeczek cukru, poczem zawija się śliwki w kawałki ciasta i formuje podłużne knedelki, które się rzuca na gotującą, osoloną wodę i gotuje pod przykryciem 3–4 minut. Ugotowane polewa się masłem i posypuje smażoną bułeczką, zmieszaną z cukrem. W miejsce smażonej bułeczki można użyć tartego piernika.

Sc. Ko.

NOWOŚCI GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Do chłodzenia napoi i kompotów można użyć wrazie braku lodowni specjalnych naczyń glinianych o podwójnych ściankach, między które wlewamy zimną wodę, a ta, zmieniana co pewien czas, zastąpi nam lód.

Podobne jak obok urządzenie zastosowano do chłodzenia masła. Taka gliniana chłodnica napełniana jest również zimną wodą, która parując przez otwory na wieku, ochładza znajdujące się wewnątrz masło.

7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 38 — **Wrzesień** — 30 dni



NIEDZIELA 11 Prota
Bulion z jajem. Bakłażany faszerowane. Kuropatwy w śmietanie z makaronem. Tort czekoladowy z bitą śmietaną.
Kolacja: Pasztet z dziczyzny.

PONIEDZ. 12 Gwidona
Zupa pomidorowa na rosole z kluseczkami. Pomidory z jajami zapiekane. Pieczeń cielęca szpikowana z ryżem. Jabłka w cieście.
Kolacja: Fondus jako suflet.

WTOREK 13 Tobiasza
Rosół z jarzynkami i płatkami. Sztuka mięsa w sosie pomidorowym. Kaczka z gruszkami i włoską kapustą. Omlet biszkoptowy z kremem.
Kolacja: Faszerowana papryka.

ŚRODA 14 Podw. św. Krz.
Zupa wątrobiana. Budyń z kalafiora. Rozbratle duszone w maszynce. Knedelki śliwkowe.
Kolacja: Omlety z grzybkami.

CZWARTEK 15 Nikodema
Jabłczanka z ziemniaczkiem. Fasolka szparagowa w sosie śmietanowym. Klops z mięsa mieszanego z duszoną kapustą. Buchtle z konfiturami.
Kolacja: Jaja faszerowane.

PIĄTEK 16 Ludmiły
Garus śliwkowy. Rizotto z groszkiem. Karp w galarecie. Placek drożdżowy z śliwkami.
Kolacja: Wędzone ryby bałtyckie.

SOBOTA 17 Lamberta
Rosół z kaszką krakowską. Makaron z serem zapiekany. Kura z rosołu z sosem chrzanowym. Kompot z jabłek i śliwek.
Kolacja: Bukiet jarzynowy.



HOCKI-KLOCKI

ROZMOWY ROZBITKÓW.



— W tej chwili przypomniałem sobie, że jestem przecież ludożercą....



— A więc miss Jenkins! jakie plany ma pani na dziś wieczór?



Odrobina benzyny, to wszystko, co nam jeszcze brakuje...



— To jest chyba najokropniejsze, co się zdarzyć może mężczyźnie, wierzącemu w potęgę mas!

TAJEMNICE HIGH-LIFE'U

„WIERNOŚCIOSKOP"

Humoreska Bogdana Brzezińskiego.

Pan hrabia był bardzo niespokojny. Zauważył bowiem, że w klubie, czy na przyjęciach, gdy zbliżał się do grupy rozmawiających znajomych, natychmiast rozmowy milkły i wszyscy mieli miny odrobinę speszone.

— Napewno hozmawiali o mnie! — myślał z rozdrażnieniem. — Ale pragnąłbym wiedzieć, dlaczego stałem się tematem hozmów?

Wkrótce dowiedział się.

Otrzymał dwa anonimy, a stary wujaszek, chluba rodziny, na którego drzewie genealogicznem było tylu kasztelanów, ilu na pierwszem lepszem drzewie na plantach krakowskich jest kasztanów — wziął go kiedyś na stronę i powiedział z powagą:

Moj drogi Benedykcie... Czeka mnie przykry obowiązek otworzenia ci oczu na pewne sprawy...

— Pewne sphawy? — spytał hrabia Benedykt i serce zabiło mu żywiej.

— Tak jest. A właściwie — nie są to zupełnie pewne sprawy, lecz raczej podejrzenia... Słuchaj, mój chłopcze! Błękitna krew burzy się we mnie, gdy słyszę te plotki... Czy jesteś ślepy?

— P u h k u a ślepy? — mruknął hrabia.

— Dlaczego, dlaczego!... Więc dowiedz się, że całe miasto, cały hajlajf mówi tylko o twojej małżonce, Beatryczy, że przyprawia ci rogi!

— Beathycze... mnie — hooogi?! — jęknął hrabia Benedykt.

— Tak, mój biedny chłopcze. — I radzę ci całą tę przykrą sprawę zbadać, w razie czego będziesz musiał rozwieść się z tą lekkomyślną kobietą, która kala nasze prastare gniazdo!

— Sphawdzę... Ale jeśli to jest niephawda — biada wsthętnym oszczehcom!!

— — — — — — — — —

Łatwo powiedzieć: „sprawdzę". Ale jak? Długo głowił się nad tem zagadnieniem hrabia Benedykt.

Wreszcie pewnego dnia przeczytał w gazecie ogłoszenie tej treści:

„Pałac Wynalazków. Najnowsze, niezwykłe wynalazki, które pchną życie ludzkości na nowe tory! Przyjdź i przekonaj się! Polecamy ostatni wynalazek: „Wiernościoskop", przyrząd do badania wierności ukochanej osoby. Ceny przystępne. Adres: Aleja Optymistów 66".

— Euhcka! — zawołał hrabia i udał się na Aleję Optymistów.

Przyjął go niezmiernie uprzejmie dość młody człowiek, uśmiechnięty i do przesady grzeczny.

— Pan hrabia pragnie nabyć nasz fenomenalny „Wiernościoskop"? Proszę bardzo! Oto ten genjalny przyrządzik!

— Sthasznie mały! — zdziwił się hrabia.

— To jest jego wielka zaleta, panie hrabio! Ten maleńki, lekki aparacik kładziemy w czasie snu ukochanej, a podejrzanej osoby na jej sercu i pilnie patrzymy na drucik, łączący te oto dwa maleńkie półksiężyce... Jeśli drucik pozostanie zimny — możemy się cieszyć, bo to znaczy, że badana osoba jest nam w stu procentach wierna. Jeśli natomiast sprawa przedstawia się mniej korzystnie — comprenez vous? — wówczas drucik zaczyna się żarzyć... Im bardziej drucik się żarzy, tem mniej mamy powodów do radości... Czy wyrażam się dość jasno?

— Bahdzo jasno — przyznał hrabia. — No, więc phosze mi zapakować jeden taki „Wiehnościoskop".

Hrabia zapłacił, zabrał pakuneczek i bardzo podniecony odjechał do domu.

Nazajutrz — zjawił się w „Pałacu Wynalazków" bardzo wcześnie. Był w doskonałym humorze.

— Ha, ha, panowie, wyrzućcie ten wasz „Wiehnościoskop" na szmelc! To sthaszna tandeta! Jeśli wszystkie wasze wynalazki są hównej wahtości, to ghatuluję!

— Jakto? Nic nie rozumiem... — wtrącił dyrektor firmy.

— No, poczekałem, aż moja małżonka usnęła i położyłem wasz apahacik na jej sehcu... I co panowie powiecie? Ujrzałem tylko błysk ognia i — — d h u c i k m o m e n t a l n i e s i ę s t o p i ł!...

Rozwiązania z Nru 36-go.

BUTELKA Z GROCHEM.

Liczba ziarn grochu jest 179.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

RĘKOPIS W BUTELCE.

Po burzy rybacy znaleźli na wybrzeżu butelkę, a w niej jakiś rękopis. Butelka musiała być w wodzie b. długo, gdyż pismo uległo częściowemu zniszczeniu i można było odczytać tylko niektóre litery.

Oto pierwszych kilka wierszy rękopisu:

Z...d....y .i. . .c...dn.. w..pi. .. .ce..i. ..dyj..... .t...k .as. u..g. ..zbi... trz. — c...o dn.. p. .p.s..z..i. .ejl...

Kropki oznaczają oczywiście litery, których nie można było przeczytać. Proponujemy Czytelnikom odcyfrowanie tego fragmentu.

ZAPROSZENIA.

85% osób, które otrzymały zaproszenie na prywatny raut, zawiadomiło listownie gospodynię o gotowości przybycia. Dwa zaproszenia były źle zaadresowane, więc nie doszły do rąk adresatów. Z osób, które przyjęły zaproszenie, jedna zupełnie zapomniała o raucie, druga zaś „wykręciła się" telefonicznie, jednak na swoje miejsce przysłała kuzyna. Cztery inne osoby były tego dnia chore, więc oczywiście nie mogły przybyć.

Troje gości gospodyni zaprosiła ustnie, więc nie potrzebowali pisemnie zawiadamiać o przyjęciu zaproszenia.

Pani domu zaprosiła ogółem 45 osób. Ilu zaproszonych wzięło udział w raucie?

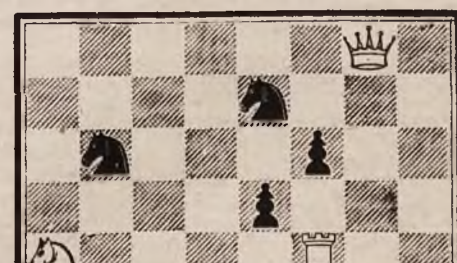
GĘSI I OWCE.

Włóczyłem się wczoraj po polach. Na jakiejś łące pasły się gęsi i owce. Ponieważ nie miałem nic lepszego do roboty, więc policzyłem nogi gęsi i owiec, a po dodaniu obu liczb do siebie otrzymałem 58. Gdyby owce miały po dwie nogi, a gęsi po cztery, wówczas suma wszystkich nóg wyniosłaby 74.

Ile było gęsi i ile owiec?

ZADANIE SZACHOWE.

J. Ropett.



Mat w dwu posunięciach.

Białe: Król d1, hetman g8, wieża f4, skoczek a4, piony b3, d2, e3. Czarne: Król d3, goniec a3, skoczki b6, e7, piony e5, f6. (7+6=13).

O tak! — to warto

zobaczyć... przeczytać... usłyszeć...



NA SCENIE

WARSZAWA. Dużem powodzeniem cieszy się w Teatrze Polskim komedja francuskiego autora J. Devala p. t.: **„Subretka"**. Wystąpiła w niej po kilkuletniej przerwie wybitna artystka komedjowa Stefanja Jarkowska, odtwarzając z dużym komizmem rolę tytułową. Zasłużone oklaski zbierają pozatem pp. J. Pichelski (Eryk), B. Samborski (Carrington), J. Kurylukówna (panna Masoubre), Małkowski (lokaj). Reżyserja A. Węgierki.

BYDGOSZCZ. W Teatrze Miejskim odbyła się uroczysta inauguracja sezonu. Dla uczczenia pamięci świetnego dramaturga nadano scenie miejskiej patronat K. H. Rostworowskiego, wystawiając **„Judasza z Karjothu"** w reżyserji Ludwika Solskiego, który wystąpił też w swej pamiętnej roli Judasza.

Oprawę dekoracyjną opracowali pp. Jadwiga Przeradzka i Aleksander Jędrzejewski.

Wszyscy wykonawcy dali ze siebie maksimum wysiłku i starania, tak, iż całość wypadła składnie. Wspomnieć należy o p. Domańskiej (Rachel), Malatyńskim (Jan), Szafrańskim (Piotr), Rosłanie (Kaifasz), Tatrzańskim, Dębiczu.

KATOWICE. Teatr im. Wyspiańskiego rozpoczął sezon **„Wilkami w nocy"** Tadeusza Rittnera w reżyserskiem ujęciu Wiktora Biegańskiego, który w przeciwieństwie do innych reżyserów tej sztuki — starał się uwypuklić w utworze momenty komedjowe. Wybitny ten artysta odtworzył postać prokuratora. — Partnerkami jego były pp. Stanisława Kostecka (żona) i Wanda Stanisławska (Janeta). Poza tem nie można pominąć pp. Stefanji Stoińskiej, M. Godlewskiego i J. Tatarkiewicza.

NOWE KSIĄŻKI

„Dola i niedola naszych dzieci". (Album ilustrowany). Zamiast pisać rozprawę naukową lub artykuły, Komitet Kongresu Dziecka przemówił do społeczeństwa mową plastyczną — obrazami, ilustrującemi najbardziej palące zagadnienia z życia dzieci w Polsce. Broszura albumowa p. t.: „Dola i niedola naszych dzieci" jest zbiorem charakterystycznych obrazów fotograficznych z krótkiemi objaśnieniami. Bez wielu słów pokazują one, jak wygląda prawda o dziecku szczęśliwem i nieszczęśliwem, o dziecku krzywdzonem i dziecku wychowanem z miłością i staraniem. Dziecko w rodzinie, w szkole, w zakładzie opiekuńczym, dziecko zdrowe i chore, dziecko w zetknięciu ze społeczeństwem — taka jest treść broszury. Ma ona za zadanie zainteresować żywiej losem naszego młodego pokolenia, chce przyjść mu z pomocą, propagując te idee, któremi zajmie się wyznaczony na dni 2—4 października br. Kongres Dziecka.

Pozatem wydawnictwo, przy dużem rozpowszechnianiu się, w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, powinno przynieść pewien dochód na rzecz akcji podjętej przez Komitet. Komitet Kongresu Dziecka uprzystępnił cenę swego wydawnictwa (32 strony rotograwjury), które kosztuje zaledwie 30 groszy.

Carlton Rayment „Dolina Nieba". Ku uczczeniu stulecia powstania dominjum australskiego, rząd Australji rozpisał konkurs na powieść o temacie lokalnym. Pierwszą nagrodę uzyskała powieść Carltona Raymenta p. t.: „Dolina Nieba". Nagroda ta Raymentowi się należała. Książkę tę czyta się z takiem uczuciem, z jakiem chodzi się po tatrzańskich wierchach, albo żegluje po radosnem morzu. Jest ona orzeźwiająca i optymistyczna.

Oto jej treść:

Młody Szkot przybywa do Australji i osiada w jednej z miejscowości, gdzie biali stykają się często z tubylcami. Sprawiedliwe jego serce cierpi z tego powodu, że Anglicy źle obchodzą się z tymi ludźmi odmiennej rasy i kultury. Opuszcza więc osiedle białych i przenosi się do okolicy zamieszkałej wyłącznie przez Australczyków. Stara się zżyć z ich kulturą, poznać ich umysłowość, stać się jednym z nich. Udaje mu się to do tego stopnia, że uzyskuje ich pełne zaufanie i miłość. Zawierają z nim jakby śluby pobratymstwa, takie, jakie znano w dawnej Słowiańszczyźnie i Szkot przezwany przez tubylców Boorreeu (Tarcza) zostaje ich ślubnym bratem. Brat otrzymuje od nich też żonę, która jednak ginie tragicznie, ratując go z wodnej topieli. Sprowadza więc sobie białą kobietę, która również nastroiła się do jego djapazonu. Budują dom, uprawiają pola, hodują owce — przytem zachowują zupełną wspólność majątkową. Kraj ten zaczyna porastać w bogactwa pod błogosławionemi rządami mądrego i szlachetnego Szkota.

Dowiadują się jednak o tych bogactwach biali i okupują tę krainę. Za białymi ściągają rozmaite nieszczęścia: grabież, rozpusta, nieuczciwość, gwałty, a koniec końcem i biurokracja. Nie jest w stanie wytrzymać w takiem piekle Boor-reu, opuszcza szczęśliwy ongiś kraj „Mądrych Ludzi" i razem ze swoją rodziną przenosi się w inne strony. Znajduje wśród gór uroczą „Dolinę Nieba", gdzie rozpoczyna pracę pionierską nanowo.

Czysta i szlachetna ta powieść nawiązuje do najpiękniejszych tradycyj Jacka Londona. Wyszła ona w przekładzie p. Birkenmajera, nakładem „Książnicy Atlas".

L. T.

Korespondencja Adama Asnyka. Wydał A. J. Mikulski. (Tow. Szkoły Lud.) W setną rocznicę urodzin autora „Nad głębiami" ukazał się tom listów poety, pisanych do ojca, Kazimierza Asnyka. Prócz tego wydawca zamieszcza 24 listy różnych osób, pisane do poety w okresie jego pobytu w Krakowie.

Listy Asnyka do ojca pochodzą z lat 1871—1885. Odzwierciedlają one dosyć szczegółowo codzienne życie poety. Asnyk opisuje w nich swoje stosunki towarzyskie, projekty literackie, wrażenia z wycieczek w Tatry, gdzie poznał swoją przyszłą żonę. Tom wydany przez p. A. J. Mikulskiego jest cennym przyczynkiem do życiorysu autora. Przyda się też znakomicie przyszłemu autorowi biografji Asnyka. Wartoby istotnie pomyśleć o napisaniu modnej dziś „vie romancee" tego poety, dziennikarza i doktora filozofji.

NAJLEPSZE AUDYCJE POLSKIEGO RADJA

Niedziela, 11 września.

12.03 Poranek muzyczny.
13.00 „W setną rocznicę urodzin Asnyka" — aud. literacka.
17.10 Ryszard Strauss: Sonata na wiolonczelę i fortepian.
17.40 Tygodnik dźwiękowy.
18.10 Podwieczorek przy mikrofonie. — Transmisja z D.W.R.
20.50 Dziennik wieczorny.
21.00 „Ta-Joj" — wesoła audycja.
22.00 „Rigoletto" — Giuseppe Verdi'ego.

Poniedziałek, 12 września.

11.15 Muzyka francuska (płyty).
16.45 „Konstanze, Pireus, Istambuł" — feljeton wygłosi Stanisław Sumiński.
18.10 Pieśni w wykonaniu Jana Trzaski (z Łodzi).
19.00 Gra Jean Français — fort.
19.30 „Z przeszłości" — koncert rozrywkowy.

Wtorek, 13 września.

16.45 „Od Tatr do stratosfery" — opowiadanie K. Jodko-Narkiewicza.
18.10 Recital fortepianowy Mieczysława Münza.
19.00 Duety operowe.
22.05 „Pięć wieków dawnej muzyki" XIV (ostatnia) audycja; Jan Sebastjan Bach.

Środa, 14 września.

11.25 Wolfgang Amadeusz Mozart — Kwintet klarnetowy A-dur.
16.00 Walce, intermezza i serenady.
18.10 Recital skrzypcowy Wacława Niemczyka.
19.00 Pieśni polskie.
19.30 „Noc letnia w Neapolu" koncert rozrywkowy.
21.10 Koncert chopinowski w wykonaniu J. Turczyńskiego.
22.00 Koncert symfoniczny (Transmisja z Berlina).

Czwartek, 15 września

11.25 Muzyka fińska (płyty).
18.10 Polskie pieśni.
18.30 „Dobrali się w korcu maku" — farsa mistrza Pathelina (Francja).
19.10 Recital wiolonczelowy Walerjana Deca.
19.40 „Z życiem panowie" — koncert rozrywkowy.
21.10 Koncert Orkiestry Rozgłośni Wileńskiej.
22.00 Polska muzyka kameralna.

Piątek, 16 września.

11.30 Fragmenty z oper Bizeta — płyty.
16.00 Koncert orkiestry mandolinistów „Kaskada" pod dyrekcją Dionizego Dobkiewicza.
19.35 Wspomnienia z wakacyj — koncert rozrywkowy.
22.00 Koncert symfoniczny.

Sobota 17 września.

11.25 Ryszard Strauss — koncert.
16.00 Koncert rozrywkowy.
18.10 Słynni pianiści w roli kompozytorów — koncert.
19.00 Ciekawe nagrania płytowe.
19.30 „Z pieśnią i tańcem przez Ziemię Krakowską".
21.10 „Z filmów i operetek", koncert.
22.00 „Godzina niespodzianek".

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.